Nr. 19. Lwów, Niedziela dnia 9. Maja 1875 r. Rok II

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr

LUŹNE UWAGI.

XIX.

Odpowiedź „Opiekunowi Domowemu“.

Opiekun Domowy, pismo wychodzące w Warszawie, i w całej Polsce, z wyjątkiem jednej Galicji, bardzo rozpowszechnione, umieściło niedawno korespondencję ze Lwowa, której autor pisząc w ogólności może aż nadto przychylnie o *Tygodniu*, robi nam jeden tylko zarzut, mianowicie ten, że w „luźnych uwagach“ nie poruszamy najżywotniejszych spraw społecznych, ale podajemy projekta np. jakie książki wydawać, jak pracować nad oświatą ludu i t. d. Korespondent jest zdania, że pożytek dla kraju byłby większy, gdybyśmy pisali np. o „energji“ „wytrwałości“ i tym podobnych rzeczach, które według jego przekonania mają być najżywotniejsze.

Daruje nam *Opiekun Domowy*, a właściwie jego korespondent, że zdania tego nigdy nie podzielimy, uważając je za całkiem błędne. I oto dla czego.

Dziennikarstwo, a mamy tu na myśli nietylko pisma polityczne, lecz także literackie, powinno złe burzyć, aby na jego gruzach dobre natychmiast budować. Nie zburzy zaś nic, i nic nie zbuduje, jeżeli palcem nie wskaże gdzie jest złe, a przykładem nie udowodni jak dobre wygląda. Dziennik, który nie idzie tą drogą, i umieszcza artykuły teorytyczne, choćby obok tego najpiękniej nawet napisane, nie wywrze najmniejszego wpływu na ogół czytelników, a tem samem na społeczeństwo. Broszury i dzieła, zawierające w kwestjach społecznych prawie zawsze tylko teorję, nie przeistaczają mas; przeistoczyć je może tylko dziennikarstwo, bo ono tam nawet dochodzi, gdzie książka nie zwykła się zjawiać, a prócz tego tylko dziennikarstwo praktyczne, powtarzające codzień na podstawie przykładów, co czynić należy a czego unikać. Wytłumaczymy się jeszcze jaśniej. Wyobraźmy sobie, że mamy teraz w Galicji dwa pisma polityczne, z których pierwsze umieszcza ciągle artykuły teorytyczne, o „zadaniach polityki europejskiej“ o „prawach narodów“ o „moralności dyplomatów“ i t. d. podczas gdy drugie nie bawiąc się w wysoką politykę, wytłumacza cośmy dziś czynić powinni, jakich ludzi trzeba wybrać do sejmu, jak należy ulepszyć ustawę drogową, jak gminną, a w jaki sposób wypadałoby rozwiązać sprawę propinacyjną. Który z tych dwóch dzienników spełniałby lepiej swoje zadanie? Co do nas, jesteśmy pewni, że za pierwszym niktby się nie oświadczył. Kraj cały zrozumiał to oddawna, i dlatego to dziennikarstwo galicyjskie, które przed ośmiu jeszcze laty było przeważnie teoretyczne, pod naciskiem opinji, która się tego domagała, weszło w ostatnich czasach na drogę dodatnią, praktyczną, a chociaż burząc złe, nie zawsze postępuje z należytem umiarkowaniem, a chcąc zbudować dobre, nie zawsze ku temu używa odpowiednich dróg i środków — mimo to nie da się zaprzeczyć, że usługi, jakie dziś oddaje, są nierównie większe aniżeli te, któremi szczyciło się przed ośmiu laty.

Stanąwszy w szeregu wraz z innymi, powiedzieliśmy sobie, że nie bawiąc się w sentymentalnych teoretyków, będziemy przedewszystkiem podawali dobre rady, zdrowe i dla kraju pożyteczne projekta, aby koniecznie coś zbudować. Ilekroć po drodze wypadnie złe zburzyć, dołożymy starań aby to uczynić. Wierni temu postanowieniu, piszemy o książkach, o oświacie ludu, o szkołach froeblowskich, o rozmaitych towarzystwach, i pisać dalej będziemy o tysiącu innych rzeczach, wykazując w czem polega złe, a w jaki sposób daloby się dobre zbudować. Od czasu do czasu rzucimy wprawdzie i myśl teoretyczną, ale teorja nie zabsorbuje nas nigdy, gdyż zdaniem naszem jej wpływ na społeczeństwo jest nazbyt słaby.

Niech o wytrwałości, energji, odwadze i bojaźni ci piszą, którzy chcą się popisywać; my natomiast w prostocie naszego ducha pójdziemy dalej drogą praktyczną, podając jak najczęściej praktyczne projekta.

Czy szanowny korespondent *Opiekuna Domowego* rozumie nas teraz?

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

V.

Na drugi dzień wcześniej niż zwykle zjawił się na swojej ławeczce, siostra towarzyszyła mu jak zwykle. Nim odeszła od niego zbliżył się do nich Alfred i pozdrowiwszy Jana usiadł przy nim. Marynia, której Jan nic przedtem nie wspominał o wczorajszej rozmowie, ani przypuszczała znajomość brata ze znanym jej nieznajomym, zdziwiła się i zmięszała widząc go siadającego poufale obok nich. Nim miała czas przyjść do siebie, Alfred poprosił Jana, by go przedstawił siostrze.

— Alfred Sztolce — rzekł Jan krótko. Widać było, że nie bardzo chętnie czynił zadość życzeniom Alfreda.

— Dawny kolega brata pani — dodał Alfred.

— U którego po kilku latach zmartwychwstały uczucia koleżeńskie — objaśnił złośliwie Jan.

Marynia ukłoniła się z wielką powagą i nic nie rzekła; z oczów jej jednak można było odczytać, że rozumiała lepiej niż brat powód nagłego odnowienia koleżeńskich uczuć; próżność i miłość własna podszepnęły jej zaraz, dla kogo to zrobił. Tymczasem Alfred rozpoczął rozmowę od zapytania Jana o zdrowie.

— A niech je licho weźmie — odrzekł Jan szorstko — takie zdrowie.

— Więc nie czujesz żadnego polepszenia?

— Może być że się polepsza, ale tak żółwim krokiem, że może pierwej strawi mnie niecierpliwość i wściekłość, zanim się doczekam tego zdrowia!

— Cóż mówią lekarze?

— Każą czekać cierpliwie. Łatwo to mówić: czekaj; ale czekać w chwili, gdy

się spieszy, kiedy każda chwila czekania odkrada jak złodziej czas, w którym mogłoby się najwięcej zrobić — to piekło!

— Czemuż nie wyjedziesz, nie poradzisz się zagranicznych lekarzy? Mówią o jakimś wiesbadeńskim okuliście jako o wielkiej znakomitości w swoim fachu.

— Wyjechać? — tu Jan rozśmiał się gorzko, a w tym uśmiechu rzadkie zęby jego wyszczerzyły się; — czy ty myślisz że ja kapitalista?

— No, tak wiele nie potrzebaby znowu.

— Dla tego, co nic nie ma, najmniejsza małość jest wielkością niedoścignioną.

— No, no, już my poradzimy na to.

Jana zastanowiły te słowa. Nie były to już czcze wyrazy życzliwości, była to zapowiedź czynnej pomocy. Ale za co? Co Alfreda skłania do tego? Jan gubił się w domysłach i nie mógł rozwikłać zagadki. To mu jednak nie przeszkadzało, że postanowił korzystać z tej pomocy, gdyby mu Alfred wyraźniej się z nią ofiarował, z tem tylko zastrzeżeniem, że to miała być pożyczka a nie darowizna. Za dumny był, aby przyjąć jałmużnę z rąk człowieka, do którego żywił jeszcze urazę, ale pożyczka była mu wcale na rękę, bo dawała mu możność wyjechania za granicę dla ratowania zdrowia, na którem mu tak wiele zależało. Miał on wprawdzie pieniądze i to dość znaczną sumę; ale ich użyć nie mógł, bo się bał zdradzić ich posiadaniem, wiedząc, że policja zdaleka dobrze strzeże każdy ich krok, obserwuje ich życie, by złapać ślad owych zgubionych pieniędzy żyda. Taka ostrożność kosztowała go wiele; był w posiadaniu pieniędzy a użyć ich nie mógł ani pomódz sobie. Pomoc, jaką mu delikatnie ofiarował Alfred, wydobywała go z tego przykrego położenia. Mógł teraz bezpiecznie i bez ściągnięcia na siebie podejrzeń wyjechać a zarazem przez wyjazd usuwał się z pod czujnych oczów policji i z rodzinnych stosunków, które mu ciężyły.

Nastepnego dnia Alfred już wyraźniej oświadczył się z pomocą swoją i nazwał ją przez delikatność pożyczką; proponował przy tem Janowi, aby dla towarzystwa wziął kogo ze sobą np. siostrę. Ta propozycja, jakkolwiek zrobiona bardzo oględnie, zwróciła uwagę przezornego Jana, i nie podobała mu się widocznie, bo krótko odparł, że obejdzie się bez towarzystwa, na opłacenie którego nie myśli wcale powiększać długów swoich. Tego dnia był kwaśnym i opryskliwym, więcej niż kiedykolwiek; parę razy przypominał siostrze, że już może odejść, a wieczorem badał ją nieznacznie pytaniem, czy Alfred przedtem nie starał się do niej zbliżyć; sprytna dziewczyna odgadła utajone intencje brata, nie przyznała się wcale do owego wieczornego spotkania, a nawet dla uśpienia podejrzeń wyrażała się o synu bankiera z pewnym przekąsem i lekceważeniem, a w rozmowie z nim w obecności brata była kostyczną, ostrą i małomówną. Jan przy całej przezorności nie przeczuwał, że to była taktyka kobieca, że kłujące słowa, które jak strzały rzucała na złotego panicza, pochodziły z kołczanu Erosa. To obronne i odstrzeliwające się stanowisko, jakie zajęła Marynia względem jego grzecznych słów, dodawało jej tylko uroku w jego oczach, codzień więcej zajmowała go energiczna, dowcipna i sprytna dziewczyna i brał się na różne sposoby, aby pozyskać jej względy. Był z kolei czułym, to znowu trzpiotowatym, czasami złośliwym i poważnym; czasami starał się odgadywać najdrobniejsze jej życzenia i dawał jej poznać, jak wiele mu zależy na niej, to znowu ignorował ją i po kilka dni słowa do niej nie przemówił. Nic to nie pomagało. Marynia trzymała go zawsze w przyzwoitej odległości, zdawała się nie rozumieć jego czułych wyznań, nie obrażała się jego niegrzecznością, a raczej nie uważała na nią. Cała ta erotyczna szermierka odbywała się w przytomności Jana, ale bez jego wiedzy. Pomimo przezorności i podejrzliwości nie domyślił się jakie wyzwania posyłali sobie nawzajem Alfred i Marja w słowach napozór obojętnych, w urwanych zdaniach i płomienistych spojrzeniach. Był to dla niego język niezrozumiały, nie znał się wcale na tych subtelnościach, jakiemi posługuje się namiętność, by się wyrazić, jak każdy ruch, każde spojrzenie mają swoją mowę, szybką, błyskawiczną. Rozmawiając z Janem o rzeczach potocznych, Alfred umiał dać poznać Maryni że wszystko, co dotąd robił, zrobił dla niej tylko, że dla niej zrobiłby wszystko. Marynia najczęściej spojrzeniem, uśmiechem dwuznacznym odpowiadała, że mu nie wierzy. Jedno mówiło postępowaniem swojem: pragnę — drugie odpowiadało: nie chcę. A odpowiadała odrzucając wszystkie jego grzeczności, które bądź sam jej robił lub pod anonymem. Obecność brata ułatwiała jej to stanowisko obronne, jakie zajęła; Alfred wtedy nigdy nie mógł się tłumaczyć otwarcie. Mogła więc udać, że go nie rozumie, gdy nie chciała zrozumieć. Alfred szukał sposobów mówienia z nią sam na sam; ale Marynia odgadując jego zamiar nie dopuszczała do tego i tak zręcznie manewrowała, że zawsze spotykał ją w towarzystwie czyjemś czy to koleżanki, czy brata, czy matki. Przecież raz zdarzyło się, że ją spotkał samą wracającą do domu. Skorzystał z tej sposobności i zbliżył się do niej pod pozorem dowiedzenia się od niej, kiedy Jan wyjeżdża. Marynia odpowiedziała krótko i przyspieszyła kroku.

— Pani się mnie widocznie obawiasz?— rzekł do niej.

— Boję? — ruszyła ramionkami. — Przecież pan tak strasznym nie jesteś. Z czego pan wnosisz, że się boję?

— Bo pani spieszysz się, żeby jak najprędzej pozbyć się mego towarzystwa.

— Pilno mi do domu. Zresztą pośpiech mój nie koniecznie mógłby dowodzić bojaźni.

— Tylko?

— Wolno się panu domyślać.

— Może wstrętu.

— Ja nie wiem.

Rozśmiała się ironicznie nie patrząc na niego.

— Panno Marjo — odezwał się Alfred surowo a wargi jego drżały ze wzburzenia — dlaczego pani bawisz się ze mną?

— Wolę, niż żebyś pan mną miał się bawić.

— Ja biorę rzecz na serjo. Wiesz pani dobrze, że nie dla kogo innego odnowiłem znajomość z Janem i bywam u niego, tylko dla pani. aby się zbliżyć do pani.

— Biedny Jan nie bardzo będzie kontent, gdy mu to powiem.

— Nie baw się pani w żarty, ja mówię na serjo. Od owego wieczoru, w którym panią zobaczyłem po raz pierwszy przed wystawą jubilerską, nie mogę sobie znaleźć spokoju, oczarowałaś mnie pani. Pani to widzisz i korzystasz z mojej słabości.

— Korzystam? Jakież to korzyści?

— Znęcasz się pani nademną, maltretujesz mnie obojętnością.

Zatrzymała się, spojrzała mu bystro, śmiało w oczy i spytała:

— Więc cóż pan chcesz, żebym zrobiła?

— Bądź pani dobrą, łaskawszą, ja panią tak kocham.

Zaśmiała się spazmatycznym śmiechem na te słowa, w drżeniu śmiechu znać było szyderstwo.

— Czemu się pani śmiejesz? — spytał Alfred urażony tym nagłym wybuchem śmiechu.

— Że mnie pan masz za taką naiwną. Czy pan myślisz, że ty pierwszy mi to mówisz? Było takich więcej, bo żaden z was nie umie spokojnie przejść koło kobiety młodej a nie strzeżonej, by nie próbować, czy się nie da ukraść. Szanujecie kwiaty w cudzych ogrodach, skradzenie kilku groszy uważalibyście sobie za zbrodnię, a nie uważacie za grzech ukraść kobiecie dobre imię, uczciwość. Powiedz pan, coby się było stało ze mną, gdybym uwierzyła była innym, tak jak chcesz, żebym tobie uwierzyła? Co się stało z temi, którym to samo nieraz pan mówiłeś?

— Co się stało? są szczęśliwe tak jak i pani mogłabyś być szczęśliwą, — jestem bogaty.

— A ja biedną, więc chcesz mnie pan kupić.

— Uwłaczasz pani sobie.

— Mówię, jak rozumiem. Gdybym była bogatą, opływała we wszystko, co mi potrzeba do przyjemnego życia, nie potrzebowała kłuć sobie palców, aby niemi zapracować sobie na liche utrzymanie a pan przyszedłbyś wtedy do mnie z podobnem wyznaniem, wtedy odpowiedź moja byłaby dowodem wolnego wyboru i mogłaby zadowolić pana. Dziś mógłbyś tylko przypuścić, że się sprzedałam.

— A gdybym panią postawił w tem położeniu, gdybym cię otoczył zbytkiem i wygodami i wtedy dopiero zapytał się: czy zechcesz mnie kochać?

— A gdybym powiedziała: nie?

— Nie zrobiłabyś pani tego.

— Ani tego, ani nic podobnego. Żegnam pana.

Słowa te powiedziała już przed domem, do którego właśnie doszli i wbiegła do sieni. Alfred zatrzymał ją za rękę i rzekł:

— Nie sądź pani, że to są żarty. Ja mówiłem na serjo, gotów jestem wszystko zrobić dla pani.

— A ja dla pana nic — rzekła śmiejąc się, i pobiegła na schody. Stanąwszy na ganku odwróciła się i spojrzała na stojącego na dole Alfreda. Spojrzenie jej zdawało się przeczyć temu, co przed chwilą mówiła.

— To nie zwykła dziewczyna — mówił Alfred do siebie, wracając do domu — tej na lada przynętę nie złowi. Zna swoją wartość i umie się cenić. Trzeba grać na podwyżkę, choćby mnie to Bóg wie ile kosztować miało.

Na drugi dzień był znowu w mieszkaniu Dylskich. Bliski wyjazd Jana i słotny czas, który nie pozwalał wychodzić choremu na plantacje, usprawiedliwiały te wizyty Alfreda. Ale Marynia od ostatniej rozmowy unikała go bardziej, i omijała wszelką sposobność mówienia z nim na osobności choćby słów kilka. Próbował rozmówić się z nią za pomocą kartki i w tej myśli zbliżał się parę razy ku niej i usiłował wsunąć jej kartkę do ręki, ale zręczna dziewczyna umiała udaremnić te zabiegi bez zwracania nawet uwagi obecnych. Raz tylko, a było to na parę dni przed wyjazdem Jana, udało mu się w czasie, gdy Jan w swoim pokoju zajęty był pakowaniem, szepnąć jej pytanie;

— Więc pani nie dasz mi żadnej odpowiedzi?

— Żadnej — odrzekła obojętnie.

— Ani nawet nadziei?

— Nadzieję każdemu mieć wolno

Na tem urwała się rozmowa, a z odjazdem Jana byłyby się urwały na zawsze może i znajomość i z nią nadzieja Alfreda, gdyby przedtem nie przypadkowe, małe zdarzenie, które miało miejsce w wilję odjazdu Jana.

Przed magazyn, w którym pracowała Marynia, zajechał tego dnia powóz, a z niego wysiadła jakaś dama zbytkownie i elegancko ubrana i weszła do magazynu. Pyszna toaleta przybyłej zwróciła uwagę wszystkich modniarek, obserwacja takich rzeczy należy po części do ich fachu, i poczęły po cichu między sobą szacować kosztowności owej damy.

— Prześlicznie ubrana — rzekła jedna.

— Łatwo jej się ubierać nie za swoje pieniądze — objaśniła druga.

— Kto to? — spytała inna.

— To kochanka młodego bankiera Sztolze — rzekła poprzednia.

Wymówione nazwisko człowieka, którego znała tak dobrze, obudziło uwagę Maryni, spojrzała z ciekawością i bystro na przybyłą damę, która właśnie przed lustrem przymierzała jakieś okrycie. Przypadek zdarzył, że Marynia siedziała najbliżej niej, i dama owa nie mogąc sobie dać rady z okryciem, które się zaczepiło o fałdy sukni, odezwała się do niej tonem rozkazującym:

— No, rusz że się panna, wszak widzisz, że się okrycie zaczepiło.

Na twarz Maryni wystąpiły ognie. Rozkazujący ton kobiety, która stroiła się za pieniądze człowieka starającego się napróżno o jej względy, dotknął ją do żywego. Ona, która dla niego była tak nieugiętą, miała usługiwać jego utrzymance. Uważała to za ubliżenie sobie i dla tego odwróciwszy się, udała, że nie rozumie rozkazu.

— Do ciebie mówię moja panno — powtórzyła dama niecierpliwie. — Wstań i pomóż mi!

— Anusiu, idź i pomóż tej pani — rzekła Marynia do służącej, która układała pióra w pudełku.

— A panna tu od czego siedzi? — odezwała się właścicielka zakładu oburzona niegrzecznością swej robotnicy, i pobiegła sama usłużyć damie.

— Masz niegrzeczne panny, moja pani — rzekła dama patrząc na Marynię — to ci może odstręczyć gości.

Pobawiła jeszcze czas jakiś w magazynie, przejrzała parę nowości, ale nic jakoś nie przypadło jej do gustu, niegrzeczność Maryni popsuła jej widocznie humor, i odjechała nic nie kupiwszy. Właścicielka zakładu nie oszczędziła teraz Maryni i w wyrazach ostrych gromiła jej postępowanie, a gdy dziewczyna na swoje usprawiedliwienie ośmieliła się powiedzieć, że takim damom usługiwać nie będzie, właścicielka wybuchnęła gniewem i rzekła:

— Panna nie masz prawa obrażać moich gości. Ja nie wchodzę w to, kto ona, u mnie jest tylko kupującą, a że daje mi zarabiać więcej, niż kto inny, więc nie pozwolę ją obrażać. A panna, jeżeli ci się to nie podoba, możesz mój magazyn zaraz opuścić.

Było to zbyt wyraźne wypowiedzenie miejsca, tem przykrzejsze, że w obec wszystkich koleżanek. Marynia nie dała sobie tego powtórzyć dwa razy i natychmiast opuściła zakład rozdrażniona i oburzona. A gdy jeszcze sobie pomyślała przez kogo doznała takiego wstydu i przykrości, oburzenie jej nie miało granic, uczuła szaloną nienawiść dla kochanki Alfreda i dałaby wiele za to, żeby ją mogła była upokorzyć i zemścić się za swoją krzywdę.

Sposobność nie za długo się nadarzyła. Na drugi dzień na dworcu kolei, gdzie poszła odprowadzić brata, spotkała znowu tę samą damę; była w towarzystwie Alfreda. Musiała ją poznać, bo przechodząc koło niej zmierzyła ją uważnie wzrokiem od stóp do głowy, a gdy zobaczyła, że Alfred jej się ukłonił, odezwała się do niego głośno, że Marynia nie mogła nie słyszeć:

— Jakie pan masz znajomości, nie wybredny pan jesteś jak widzę.

Marynia połknąć musiała w milczeniu tę obelgę. Ale za to gdy Alfred dla pożegnania się z Janem zbliżył się ku nim dała mu uczuć dotkliwie swój zły humor. Pomimo, że przywitał ją głośno, że stanąwszy przy niej przemówił do niej kilka razy, nie odpowiadała mu, zdawała się nie zważać wcale na niego i umyślnie patrzała po sali, aby nie patrzeć na niego.

— Panno Marjo, pani zdajesz się mnie nie widzieć dzisiaj, co pani jest? — pytał Alfred, który lubo przyzwyczajony do kapryśnego humoru Maryni, zdziwił się dzisiejszym jej zachowaniem się; była roztargnioną, nachmurzoną, wzrok miała błyszczący, niespokojny a twarz rozpaloną. — Czy pani dziś nie poznajesz ludzi? — A gdy mu nic nie odpowiadała dodał: — Czy pani postanowiłaś sobie nie mówić więcej ze mną? Czemu?

— Żeby inni na tem nie ucierpieli — odrzekła cierpko.

— Kto?

— Ktoś co czeka na pana. Niech się pan dla nas nie pozbawia miłego towarzystwa.

Alfred teraz dopiero domyślił się powodu, uśmiechnął się pobłażliwie i rzekł:

— Każdy pociesza się jak może.

— Nie chcę panu przeszkadzać w tem pocieszaniu się, żegnam.

Powiedziała to tak ostro, że Alfredowi nie wypadało tylko usunąć się z przed oczów zagniewanej dziewczyny. Pożegnał więc brata i odszedł. Szczęście jednak czy nieszczęście chciało, że po odejściu pociągu spotkał ją znowu w korytarzu dworca, wśród tłumu ludzi, gdy przeciskał się do powozu prowadząc ową damę pod rękę. Deszcz lał gęsty, Alfred pszechodząc koło Maryni spytał:

— Pani myśli piechotą wracać? To nie podobna. Sprowadzę pani dorożkę.

— Ależ chodźmy już — odezwała się z grymasem towarzyszka jego i pociągnęła go lekko za sobą.

Marynia rzuciła za nią piorunujące spojrzenie i zwracając się do Alfreda rzekła z naciskiem:

— Muszę korzystać z grzeczności pana i prosić o tę przysługę.

— W tej chwili służyć pani będę.

Odprowadził towarzyszkę swoją do powozu i pomimo jej protestu i próśb powrócił do Maryni i podał jej ramię.

— Ale pan pojedziesz ze mną? — spytała go idąc z nim razem.

— Moja... znajoma czeka na mnie — odrzekł zakłopotany Alfred.

— A gdybym chciała tego koniecznie? Gdybym się odwołała do tego coś pan sam powiedział nie dawno, że gotów byś był zrobić dla mnie wszystko?

Alfred spojrzał jej badawczo w oczy, spojrzenia ich skrzyżowały się, jakby nieme pytania i odpowiedzi. Odpowiedź musiała być wymowna, bo Alfred uścisnął z radością rękę Maryni w swej dłoni i rzekł ze stanowczością:

— Jadę z panią.

Przechodząc koło powozu, w którym siedziała towarzyszka Alfreda czekając na niego, Marynia rzuciła na nią tryumfujące, dumne i pogardliwe spojrzenie i zapytała Alfreda głośno:

— Gdzie siadamy?

— Oto dorożka — rzekł Alfred otwierając drzwiczki najbliższego powozu, podał rękę Maryni i niebawem sam wszedł za nią. Zatrzasnął drzwiczki i odjechali.

W kilka dni potem Marynia znikła bez wieści.

(C. d. n.)

O ILUSTRACJACH NASZYCH NARODOWYCH POETÓW.

Napisał

W. J. Wdowiszewski.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Ilustracje „Bajek“ Krasickiego, jakie wykonał dla Tygodnika Ilustrowanego Antoni Zaleski, gdyby z większą troskliwością pod względem rysunku były wykonane, możnaby nazwać wybornemi. Artysta jest w nich bystrym spostrzegaczem i moralistą; umiał bajkom nadać znaczenie głębokie i w pojęciu z pewnością wyrównywa poecie. Za przykład niech posłuży ilu-

*

stracja do bajki: „Dzieci i żaby“ — koło jeziora, z wieczora.

Artysta przedstawił panicza i amazonkę pędzących na wyścigowych koniach środkiem łanu zboża. Właściciele: wieśniak i wieśniaczka napróżno podnoszą głos pokrzywdzonych; jeźdzcy pędzą dalej.

Dzieci przestańcie, bo się źle bawicie,
Dla was jest to igraszka, nam idzie o życie,

nie może być ani lepiej ani dosadniej wyrażone.

Poprzedniej ilustracji nie ustępuje inna do bajki: „Stary pies i stary sługa“ — nie wymieniając już innych równie udatnych.

„Satyry“ tegoż poety zyskały w Henryku Pillatym dość szczęśliwego odtworzyciela, a na ilustracje do Kochanowskiego „Pieśni“ składał się wymieniony artysta i Juliusz Kossak.

Gdym wspomniał Kossaka, wypada mi poświęcić ilustracjom, jakie wykonał według Potockiego „Wojny Chocimskiej,“ dłuższą wzmiankę, gdyż należą one nietylko do najlepszych ilustracyj, ale zarazem do najcelniejszych utworów naszego malarstwa.

Oto staje przed nami „Morsztyn“ w chwili, gdy bierze

.....harcem na arkan, za kark Murzę z Krymu.

Przepyszna to postać! Siedzi na koniu jak przykuty; w ruchach znać, że to siłacz pierwszej wody; rycerz nie cofający się przed żadnem niebezpieczeństwem. Postać ta żyje, działa, tak ją mistrzowsko odwzorował artysta. A koń? Żywy! Kossak wykonał ten obraz raz akwarelą, a potem musiał go powtarzać olejno, tak się ogólnie podobał. Jeżeli się nie mylę, obraz ten był w kopji drzeworytniczej zamieszczony w jednem z pism warszawskich.

Nie mniej potężną jest postać „Zienowicza“ z tegoż poematu, do słów:

....A on między trupem
Tak gęstym stał, sparlszy się na palaszu słupem.

Już po bitwie; równina zasiana trupami, a wśród nich zwycięzca. A widać w nim nie tylko że zwycięzca, ale że niestrudzony. Dajcie mu hasło, a w tej chwili rzuci się w gwar bitwy i znów pole zaściele trupami. Jest to typ polskiego wojownika, z twarzą prostoduszną, która zda się mówić: spełniłem tylko obowiązek. Jedne ręce są źle rysowane i zanadto szafował artysta czerwonemi barwami.

Trzecia akwarela do tegoż poematu, przedstawia „Lipskich“ z baszą tureckim.

Toż go co w koniach skoku, z potarganą brodą,
Prosto ku obozowi do Hetmana wiodą.

Brawura tej sceny jest niepodobna do opisania. Nie wiedzieć co podziwiać więcej; czy energję ruchów, czy wyniosłość Lipskich, czy prześliczne linje konturowe ludzi, czy też rysunek pędzących koni. Zaprawdę, w tych ilustracjach uwziął się artysta, aby wykonywać postacie i sceny jedne lepsze od drugich; a jeśli Potocki może być kiedy w całości godnie odtworzony, to z pewnością przez Kossaka, który w tych kilku akwarelach dał świetne dowody zrozumienia potężnego poematu, jak w ogóle bohaterskiej przeszłości narodu.

Odżałować nie mogę, że czwartej ilustracji „Lubomirskiego“ widzieć nie miałem sposobności. Sądząc jednak analogicznie z poprzednich, wnosić można, że niedaleko padło jabłko od jabłoni; co zresztą potwierdzają sprawozdania, jakie od rzeczoznawców otrzymałem. Nie pozostaje nam jak tylko prosić artystę o dalsze ilustracje do Wojny chocimskiej i dodać, że wymienione akwarele rozeszły się w kopiach fotograficznych po kraju.

Niemi kończę dział ilustracji samoistnych, nie dołączonych do żadnego wydania odnośnych poetów. Wiem, że wiele ilustracyj pominąłem; ale wiem również, żem nie pominął żadnej znaczniejszej i na uwagę zasługującej, bądź ze względu wykonania, bądź też ze względu na nazwisko artysty. Ogólny pogląd na ocenione ilustracje zachowuję sobie na sam koniec niniejszej rozprawy, teraz zaś przechodzę do ilustrowanych wydań poetów naszych.

VII.

Dział wydań ilustrowanych jest w sztuce naszej bardzo nielicznie reprezentowany. Gdy Niemcy, Francuzi, Anglicy, mogą się wykazać najudatniejszem i najwspanialszemi wydaniami, my zaledwie kilka wydań tego rodzaju przeciwstawić im możemy. Gdy u nich pierwszorzędne talenta biorą udział w wydaniach ilustratorskich, gdy tacy mistrze jak Cornelius, Kaulbach, Genelli, Flaxmann; takie talenta jak Gilbert, Doré, Siebertz, Bayard, Vautier, Ramberg, Mälstrom szły na wyścigi w odtwarzaniu poetów za pomocą rysunku; u nas z pierwszorzędnych artystów zaledwie jeden Kossak do rzędu ilustratorów tego rodzaju policzonym być może.

Prawda, że nie możemy brać miary z zagranicy, w stosunku do naszego położenia; prawda, że wydawcy nasi nie mogą liczyć na taki odbyt jak np. Niemcy, gdyż stosunki terytorjalne i cenzurowe nie pozwalają na jednakowe rozpowszechnienie wszystkich poetów, a czasem wszystkich utworów jednego i tego samego pisarza; ale z drugiej strony także prawda, że przyczyna małej ilości ilustrowanych wydań i małego o nie popytu leży w artystach i wydawcach, a nie w publiczności.

Jakto? zapytacie. Wszak ciągle słyszymy skargi wydawców na publiczność?

Przypatrzmy się zatem faktycznemu stanowi rzeczy.

(C. d. n.)

Z WĘDRÓWEK PO ANATOLJI

przez

W. KOSZCZYCA.

(Ciąg dalszy.)

Przywitawszy nas przy wejściu zwykłem wschodniem podniesieniem ręki do czoła, gospodarz szybko posunął na róg honorowy sofy, i usiadł po turecku. Siedzący dopiero zaczął witać każdego z osobna, podnosząc po turecku rękę od serca do czoła, na co mu także siedząc odpowiadaliśmy tą samą giestykulacją. Po skończonej pantominie powitalnej, zaczęła się prezentacja wszystkich z kolei, przyczem nasz tłumacz, Grek, miał obszerne pole do popisów djalektycznych, stanowiących treść mądrości wschodniej. Z pozoru sądząc, zdawałoby się, że okazałej postawy, wcale młody, bo zaledwo na 40 lat wyglądający i ucywilizowany arcybiskup, powinien był nakazać drogomanowi umiarkowanie i trzeźwość w opowiadaniach, ale ten znając lepiej swoich ludzi, komentował wszystkie odpowiedzi po swojemu, nie szczędząc przytem przesady i kłamstw nawet, słowem, używał sposobów, służących zwykle za środek wypróbowany do otumanienia łatwowiernych prostaków tutejszych. Gdy więc z kolei zaczęto mówić o uporze Turków i ich niechęci do wszelkich projektów drogowych, Grek, powątpiewając czy i ekscelencja nie jest przypadkiem tego samego zdania, dał folgę językowi i nie słuchając naukowych wywodów p. B. objaśniał wszystko co mu się wydało podejrzanem w sposób najponętniejszy. Krasomowstwo jego tworzyło przed zdumionym wzrokiem dostojnika kościelnego rodzaj fata-morgany, w której widział kraj swój zamieniony na prawdziwe Eldorado bez najmniejszych trudności.

— Zapewne — mówił arcybiskup — wszyscy pragniemy wybudowania szosy, ale nie mało trudności przyjdzie pokonać w tych górach, co zapewne znaczne koszta za sobą pociągnie.

— Ekscelencjo! — odparł żywo tłumacz — te góry powiadasz, czemże one są w gruncie? Oto po prostu górami jak wiele innych, z któremi bez ceremonji postąpimy, zasypując niemi wąwozy i doliny. Droga od razu stanie równa jak stół, a jak na nią kamień nasypać, to nasza sztuka, którą bawiąc się zrobimy. Co zaś do kosztów, to rozkopując góry znajdziemy z pewnością tyle złota i srebra, że ono nietylko zapłaci ale i wzbogaci cały kraj. Waj! waj! nie wielki kapitał włożony w to przedsiębiorstwo, może wkrótce zamienić się na miljony....

Ekscelencja, prawdziwy Ormjanin, dostała przymilającej się drgawki w twarzy, obliczając zapewne procenta, jakieby dało się zarobić na projektowanej budowie; nie uszło to badawczemu oku tłumacza, który z wzrastającym zapałem ciągnął dalej:

— Co tu mówić, jak zaweźmiemy się, wkrótce cała ta okolica zamieni się na Europę. A jakież to śliczne domki pocztowe pobudujemy wzdłuż drogi! podobniusieńkie do kiosków sułtańskich nad Bosforem, a w każdym z nich będą urządzone przepyszne apartamenta dla wysokich dostojników i dla wszystkich podróżnych. Prócz tego odkryliśmy koło Kiumbet wodę mineralną tak doskonałą jak słynna woda Vichy. Postawi się tedy hotel w tem miasteczku i pełno napłynie cudzoziemców, mianowicie ciepłych Anglików....

— Cesarz Napoleon bywa każdego lata w Vichy i wzbogaca to miasteczko—dodała ekscelencja widocznie w chęci błyśnięcia przed nami znajomością tego, co się dzieje na wielkim świecie.

— Rozum twój jest głęboki jak bezdeń morska, a wiadomości tak rozległe jak firmament niebieski. Widzisz, zapewne tedy i padyszach, niech mu Pan Bóg daje zdrowie, przyjedzie odwidzieć nasz hotel w Kiumbet. Abdul-Azis bowiem, nasz pan, jest przyjacielem Napoleona i chce, by i u nas wszystko było „a la franka“. Po co zresztą miałbym nużyć twoje uszy wspaniałomyślne? wiesz sam doskonale, co znaczy dobra droga z dyliżansem pocztowym....

Końcowe pochlebstwo drogomana widocznie musiało najlepiej poskutkować, bo ekscelencja aż się poprawiła na poduszce, a gdy następnie przyszła chwila pożegnania, ujrzeliśmy na jej twarzy wyraz niekłamanej sympatji, objawionej w ten sposób, że stanąwszy na sofie, pobłogosławiła nas z tej wysokości. Za progiem podczas zmiany trzewików pana B. przyszło do narady — dokąd z kolei udać się mamy. Kapitan gdy to usłyszał, zwrócił się do Greka i powiedział:

— Francuskie przysłowie mówi, że Hiszpanie są najlepszymi budowniczymi zamków na lodzie, twoja sztuka jednak, którą rozwinąłeś przed chwilą, przekonała nas jak niesłusznem jest to zdanie... a ponieważ mowa o zamkach, chodźmy przeto ztąd prosto na górę do starożytnej for-

tecy greckiej, może będzie lepszą od nowożytnych europejskich?!

Biskup sufragan ofiarował się za przewodnika, a zaledwo jego fijoletowa suknia ukazała się w ulicy, już się do niej przysunął czarny surdut effendego, który złożył nam wizytę poranną. Ten przyczynek grzeczności osmańskiej dowodził, że mutasaryf postanowił wszelkiemi zabiegami nakłonić ku sobie zatwardziałe serca Frenków, gotowych mu zaszkodzić niekorzystnym raportem o mieście. Ze spokoju rozlanego na twarzy sufragana, widać było, że jest zupełnie zadowolonym z naszego znalezienia się u arcybiskupa. Ormjanie, jakkolwiek są dosyć poczciwi, miewają atoli jedną ogólną słabość, mianowicie, łubią opowiadać wszystko słyszane, za co też obdarzają ich na Wschodzie niepochlebnem przezwiskiem „czaszid“ to znaczy: szpieg.

Skała, na której stoi forteca, wyrasta od razu z ziemi pionowemi ścianami, z wykutemi po bokach ślimakowemi drogami. Na pewnej wysokości napotkaliśmy studnię żywej wody, przed którą znajdują się zardzewiałe wrzeciądze, zamykające czarne ujście poterny, komunikującej z cytadelą na górze. Kobiety i dziewczęta z pełnemi dzbankami na głowach, ze spuszczonym wzrokiem omijały nas, a te co na miejscu stały, zakrywały sobie twarze, jeśli były chrześcijankami, muzułmanki zaś w dodatku odwracały się od nas.

— Tempora mutantur! — zawołał uroczyście p. B. wielki wielbiciel klasycznej starożytności — niegdyś rządziły tym krajem sławne Amazonki, a dzisiaj prawnuczki ich muszą poniżać się jak prawdziwe niewolnice i dźwigać na głowach te olbrzymie garnki....

Zaledwo skończył swój napuszysty frazes, a już wysłannik mutasaryfa pośpieszył dowiedzieć się, co mówił wielki Frenk, a gdy mu wytłumaczono, zapewnił, że jeśli noszenie garnków na głowie nam się nie podoba, natychmiast zostanie wydanym „jasak“ (zakaz z urzędu) i kobiety będą musiały wodę nosić „a la franka“. Nie byliśmy na tyle ciekawi, aby zapytać szanownego effendego, jak miało wyglądać owo noszenie wody po europejsku; z miny jego widać było atoli ogromne zadowolenie, którego nie chcieliśmy psuć niewczesnemi pytaniami. Nie zdetonował go nawet śmiech głośny, którym kilku odpowiedziało na jego propozycję.

Wdrapaliśmy się wreszcie na wierzchołek skały i stanęliśmy pośród gruzów pierwszego opasania cytadeli. Pan B. przymrużył jedno oczko i jak zdobywca szturmowym krokiem posunął na środek placu, gdzie zamiast sztandaru zatknął połyskujący gonjometr*), koło którego skupił się cały tłum asystujący nam na górę. Zaciekawienie powszechne objawiło się szerokiem rozdziawieniem gęb i wytrzeszczeniem oczu; wszyscy oddech w sobie zaparli, jakby się bali spłoszyć nieznane narzędzie. Odegrywanie roli magów, było widocznie bardzo przyjemnem naszemu młodemu personalowi, ale nielitościwy nadinżynier pragnął upokorzenia swoich podwładnych, gdyż wziął się do naszego sztabowca-nadinżyniera.

— Proszę odliczyć minuty na gonjometrze! — rzekł do uczonego Turka.

Effendi z kolei otworzył gębę, i oglądnąwszy się do koła, z najspokojniejszą miną odpowiedział:

*) Gonjometr najprostsze narzędzie miernicze do mierzenia kątów.

— Niezawodnie uczyniłbym to, gdybym umiał; wiem jak się stopnie odliczają, ale tych drobnostek nie uczyliśmy się w naszej szkole inżynierji wojskowej; bądź przeto łaskaw i objaśnij mnie, jak się ta sztuczka wykonuje?

Turcy nie łatwo kapitulują ze swojej mądrości. Zaledwo więc zaczęto wbijać kołek na miejscu, gdzie stał instrument, a już posypały się zapytania do ugalonowanego effendego — czy droga tędy pójdzie? Effendi pomiarkowawszy, że szosa nie ma po co drapać się na pionową ścianę, skoro jest pod bokiem równina jak stół, a ponieważ z drugiej strony nie wiedział dokładnie, co może znaczyć ten kołek, okrył więc swoją odpowiedź mgłą tajemniczą jak wyrocznia nieprzygotowana.

— Kołek, widzicie, wbija się dla zrobienia planu, który bywa kwadratowy — jeśli jest wojenny, albo podłużny — jeśli jest drogowy. Robi się on podług skali, a następnie maluje się farbami. Droga pójdzie tam, gdzie na planie wypadnie. Na to więc kołek został wbity...,

— Czok szej! czok szej! (dziwne dziwy)— powtarzano w tłumie, a jeden głos dodał: — Patrzcie jednak, co to znaczy mądrość frencka! oto nasz człowiek, zaledwo ją sobie zdobył, a już stał się tak uczonym, że my go zrozumieć nie możemy. Walla!

Głośne cmokania w tłumie i kiwanie głowami w poziomym kierunku — dowody wysokiego uszanowania i podziwu — były odpowiedzią na ostatnie postrzeżenie.

Oględziny ruin i całych części fortecy skończyliśmy prędko, ponieważ prócz dwojakiego rodzaju więzień, nic zresztą ciekawego nie spotkaliśmy na zamku Kara-Hissarskim. Jedno z więzień, domek z piąterka, obecnie skład rekwizytów wojskowych, było wybudowane ongi dla pewnej księżniczki krwi z dynastji bizantyńskiej; nieszczęśliwa dokonała swego żywota w zamknięciu, i podług podania miejscowego, w postaci widma błąka się po nocach pośród ruin. Drugi schowek na ludzi nierównie ciekawiej wyglądał: był to dół wykuty w skale, nie szerszy jak półtora sążnia u spodu a na dwa u góry i nakryty z wierzchu olbrzymią płytą kamienną — prawdziwy grób na żywych. Martwy głos pierwotnego spodlenia ducha ludzkości mroźnie i sromotnie zdawał się odzywać z głębin tej jaskini....

Pośród min bizantyńskich powzięliśmy zamiar odwidzenia żywego reprezentanta bizantynizmu — biskupa greckiego, czyli tak zwanego „despoty“. Odwidziliśmy ormiańskiego dostojnika, a teraz mściwa dyplomacja p. B. powiedziała mu, że należy zrobić jeszcze wizytę, aby po raz drugi upokorzyć dumę turecką.

Rezydencja despoty, położona w uboższej dzielnicy chrześcijańskiej, wcale nie zaimponowała nam swoją powierzchownością. Z cegły ziemnej, domek ten malutki, niczem nie wyróżniał się od domów pospólstwa, otaczających go do koła. Widok tego ubóstwa zbudował nas na wstępie i byliśmy przygotowani spotkać pod tym dachem coś świętobliwszego. Pierwszy wszakże krok przez próg pokoju recepcyjnego despoty, rozczarował nas niemile.

Zaledwo kotarę u drzwi uchylono, woń wódki i kadzidła cerkiewnego, pomięszana ze stęchlizną buchnęła ku nam. Przypomniało to niektórym z nas mieszkania popów moskiewskich. Ta właściwość siedzib prawosławnych ma widocznie jakieś głębsze znaczenie moralne, które ś. jurcy galicyjscy czerwonością swoich nosów najlepiej ponoś zbadać potrafili. Nie lepszym był i porządek w przystrojeniu apartamentu. Wytarty i podziurawiony dywan na podłodze, sofa podejrzanej jakości, przed nią stół poplamiony i podziurawiony, wreszcie kilka kufrów w krzyczące kolory malowanych, na których parę siodeł z rynsztunkami końskiemi spoczywało — nie szczególnie świadczyły o gospodarstwie despoty. Dobrze że przynajmniej nie długo kazał na siebie czekać i wyszedł, zaledwieśmy ukazali się w pokoju.

Despot około sześćdziesięciu lat, z kłaczastą szpakowatą brodą i kudłami na głowie, w kołpaku grzybkowym i szerokiej szacie popowskiej, przy alkoholicznych rumieńcach na twarzy i na nosie — wcale nie wyglądał na biskupa chrześćjańskiego, ale raczej na augura pogańskiego. Rubaszny ton mowy i prostacza arogancja, bynajmniej nie osłabiły pierwszego wrażenia. Witał się z nami i mówił jakby z dobrze sobie znajomymi, a wizytę naszą uważał za zwykły hołd należny jego wysokiemu stanowisku.

— Byliście u katolikosa (arcybiskupa) — mówił despot — ale dobrzeście zrobili, że po nim przyszliście do mnie; my dwaj bowiem jesteśmy bardzo silni w medżlisie. Ja bardzo lubię Frenków i wszystko będę mówił na waszą korzyść; a przytem u was widzę nie tylko naukę, ale i szacunek dla naczelników kościoła.

To łączenie nas z kościołem bizantyńskim nie pochlebiało nam wprawdzie, skutkiem czego nie jeden nosem pokręcił; ale za to z drugiej strony otworzyło wszystkie tamy krasomowstwu naszego drogomana. Obraz po obrazie roztaczał on z niesłychaną prędkością przed zachwyconym wzrokiem eminencji, a gdy przyszło do opisania Eldorada in spe i drogoman zaczął rozwijać pomysł wielkiego hotelu a la Vichy w Kiumbet, despot przerwał mu nagle i rzekł cmokając:

— Uf! uf! muszę wam oświadczyć, że nigdzie nie robią tak dobrej i tłustej bryndzy, z której słynie Kara-Hissar, jak w moim monasterze. Pamiętajcież o tem, aby hotel wasz tylko od nas ją kupował. Nie koniecznie będziemy żądali gotówki; możemy handlować np. na jakie ludzkie trunki, których wcale nie znają tutejsi kupcy. Ja bo znam dobrze Europę; byłem w Taganrogu i Odessie, i wiem co to charoszaja wodka!— a wymówiwszy te moskiewskie wyrazy, dodał: Nauczyłem się także zwyczajów „a la franca“, w dowód czego proponuję wam wypić po kieliszku naszej wódki, zanim kawę podadzą — i tu nie czekając, nalał sobie kielich bernardyński kotłówki, zachęcając nas do naśladowania jego przykładu.

Zaledwo wódka i bryndza na zakąskę kolej pierwszą odbyły, a już gościnny gospodarz zapraszał znowu mówiąc:

— Che! che! kieliszek odeski. Car Aleksander także pije gorzałkę. Proszę, bardzo proszę! A to co takiego? — nagle dodał, wskazując na gonjometr, wniesiony za nami do pokoju dla większej ostentacji.

— Gonjometr — odpowiedział Grek i skromnie wzrok spuścił, chociaż uśmiech zdradziecki igrał mu na ustach.

— Rozumiem, jest to narzędzie do patrzenia na gwiazdy, podług których kierunek drogi obieracie. Robicie to samo na lądzie co marynarze na morzu. Che! che! widzicie nie koniecznie trzeba być inżynierem, aby sztuczki wasze umieć.... Napijmy się wódki!

Widząc że eminencja gotowa w swoich eksperymentach zajść za daleko, uznaliśmy za konieczne pożegnać ją jak najprędzej.

(D. n.)

O naturze i harmonji barw

napisał

Stanisław Kramsztyk.

(Ciąg dalszy.)

We wszystkich powyższych rozważaniach używaliśmy do wytłumaczenia teoryj Younga, w ostatnich czasach znakomicie rozwiniętej przez Heholtza. Pospieszam jednak dodać, że nauka o trojakich włóknach nie odpowiada już dzisiejczemu stanowisku nauki. Wzmocniony mikroskopem wzrok dzisiejszych anatomów dojrzał, że siatkówka nie jest wyłącznie tylko splotem nerwowym, ale że pomimo swej cienkości — grubość jej wynosi zaledwie 0,1 milimetra — składa aię z 10 warstw; najgłębsza z tych warstw, która zawiera organa na światło wrażliwe, składa się z niesłychanie delikatnych kończyn nerwowych, mających postać walców lub stożków; pierwsze zowie się słupkami, drugie czopkami, a średnica ich wynosi zaledwie 0,003 milimetra. Max Müller zdołał dopatrzeć się drobniejszych jeszcze elementów, poznał mianowicie, że czopki utworzone są z osi, na której w postaci stosów ułożone są krążki. Obserwacja kończy się na tym punkcie, ale wolno wnosić dalej, że drganie eteru stanowiące światło, udziela się tym krążkom, i te przechodzą w ruch, który przez osie czopków przenosi się na włókna nerwu wzrokowego. Ponieważ zaś osie czopków nie są walcowe a stożkowe, to owe drobne krążki posiadają rozmaite średnice, co zapewne zostaje w związku z rozmaitą długością fal eteru, odpowiadającą rozmaitym barwom. Slepota zaś barwna pochodzi może ztąd, że pewna kategorja krążków zrasta się z samemi czopkami, traci swą ruchliwość i przez odpowiednie drgania eteru w ruch wprawioną nie zostaje. Że czopki te są istotnie organami na światło czułemi, wypada już z tego, że punkt oka w nie najbogatszy, tak zwana plama żółta, jest też na światło najczulszy, natomiast miejsce, w którem nerw wzrokowy do oka wchodzi, a które wcale czopków nie zawiera, jest zgoła niewrażliwem. Ostatnie to miejsce oka stanowi tak zwaną plamę ciemną, czyli ślepą. Plama ta jest istotnie miejscem ślepem oka; o istnieniu jej łatwo się przekonać. Zamknijmy prawe oko i wzrok utrwalmy na głoskę **a**, umieszczoną we wierszu po niższym,

A **a**

następnie, umieściwszy to pismo w pobliżu oka, pionowo przed oczyma, odsuwajmy je zwolna, — natrafimy wkrótce położenie, przy którem głoska **A** zniknie; w tej chwili obraz tej głoski w oku pada na ową plamę ciemną. Przy drobnym ruchu głowy lub lekkiem usunięciu papieru znowu ją dostrzeżemy. Slepe to miejsce oka poznał pierwszy Edmund Mariotte (1668); doświadczenia jego w różny sposób zmieniane, wzbudziły wówczas wielkie zadziwienie ówczesnemu królowi angielskiemu Karolowi II. ustawiał słynny fizyk francuski dworzan jego tak, że król widział ich bez głowy. Może przypomniał sobie wtedy oddzieloną od kadłuba głowę swego ojca — przypomnienie to jednak nie było snać dosyć silnem, aby go odwieść od srogiej reakcji, za którą dopiero syn jego odpokutował.

Kończąc ustęp o budowie siatkówki, dodamy jeszcze, że takowa łatwo tłumaczy, dlaczego barwy mięszane sprawiają w oku wrażenie jednorodne, tak że w mięszaninie barw składowych części barwnych rozróżnić nie możemy.

Mówiliśmy o oczach nieprawidłowych pod względem poczucia barw, ale i oczy najzupełniej prawidłowe nie zawsze jednakowo są usposobione do przyjmowania wrażeń barwnych. Jeżeli jakie włókno nerwu wzrokowego długo było wystawione na podrażnienie światła, to drażliwość jego słabnie stopniowo, to i w skutek tego zmęczenia ginie nakoniec zupełnie, włókno nerwowe przestaje na pewien czas przewodzić wrażenia do mózgu. Jakkolwiek o trojakich włóknach Younga jakeśmy dopiero co widzieli, ściśle biorąc, mowy już być nie może, zatrzymać możemy jednak tę teorję jako bardzo prostą i dobrze uzmysławiającą bardziej zawikłaną budowę siatkówki, jeżeli więc jedna z trzech kategoryi włókien Younga długo wystawioną była na podrażnienie barwne, to w następnem wrażeniu świetlnem nie dostawać będą te barwy, które poprzednio wywołały zmęczenie włókien, lub przynajmniej będą bardzo osłabione, — tak że nowe te wrażenie świetlne będzie w pewnej sprzeczności z poprzedniem, zkąd cały szereg należących tu zjawisk -- już oczywiście czysto podmiotowych (subjektywnych) czyli fizjologicznych nazwano k o n t r a s t e m. Cheuvreul rozróżnia kontrast kolejny czyli następczy od kontrastu jednorazowego czyli współczesnego. Pierwszy oznacza zmiany jakich doznaje barwa lub jasność przez działanie poprzedniej na toż samo miejsce siatkówki, drugi natomiast zmiany, jakie wywierają wzajemnie jedna na drugą dwie barwy lub jasności, jednocześnie widziane. Najprostszy przykład kontrastu następczego otrzymamy, jeżeli przez pewien czas spoglądać będziemy na mały czarny lub szary kwadrat na białem tle; jeżeli następnie wzrok zwrócimy na inny przedmiot, np. na gołą ścianę, lub na sklepienie niebieskie, ujrzymy tam biały kwadrat na czarnem polu. Miejsca bowiem siatkówki, na które padało światło wychodzące od białego tła, są bardziej zmęczone niż miejsca na którem się rysował obraz czarnego kwadratu; są zatem mniej dostępne nowemu wrażeniu; skoro śmy przeto skierowali oko na przedmiot, wysyłający białe światło, to miejsce siatkówki, zajęte poprzednio przez czarny kwadrat, silniej je uczuje, niż część pozostała siatkówki, która przyjmowała wrażenie białego tła; obraz się przeto odwróci i ujrzymy biały kwadrat na czarnem tle. Nie potrzeba nawet zwracać oczu na inny jasny przedmiot, dosyć je przymknąć, aby ujrzeć ten obraz następczy czyli wtórny; mała bowiem ilość światła, jaka się przy oświetleniu dziennem wdziera do oka przez zamknięte powieki, już wystarcza do wywołania zjawiska kontrastu. Zresztą, wewnętrzne życie oka, krążenie w niem krwi, czynności odżywiania, podrażniają już same nerw wzrokowy, co wywołuje słabe, własne światło oka, wystarczające często do dostrzeżenia obrazów następczych. W ten to sposób, jak opowiada słynny jezuita Kircher (1646) wygrał od niego zakład Bonacursius, który utrzymywał, że można widzieć w ciemności; Kircher jednak sądził, że obrazy następcze powstają ztąd, iż oko pochłania światło, które następnie z niego promienieje na biały papier i tam wywołuje obrazy. Obserwacja tych obrazów następczych, zwanych także odjemnemi, z powodu że miejsca ciemne i jasne są pozmieniane, jest często nawet dogodniejszą przy zamkniętych powiekach, bo oko nie jest zajęte obrazami ubocznemi. Niekiedy warunki same przez się nasuwają się bardzo dogodne do uchwycenia tych złudzeń wzrokowych; tak n. p. ktoś, co widział w pewnej odległości czarno odzianego jeźdzca na białym koniu, gdy ten przyjechał, ujrzał białego jeźdzca na czarnym koniu. Każdy zresztą nieraz miał sposobność uchwytania pięknych zjawisk tego rodzaju, gdy rozmarzony leżąc na sofie, spoglądał długo na czarny miedzioryt na białym papierze i w czarnych ramach; przymknąwszy powieki dostrzega wtedy biały obraz na czarnem tle i w białych ramach. Obraz ten następczy ginie zwolna, ale nie w ten sposób aby jego części białe i czarne miały się zwolna zlewać w barwę pośrednią — szarą, ale obraz przechodzi stopniowo przez różne barwy, — po białym staje się niebieskim, zielonym, czerwonym i znowu niebieskim. Barwne to zanikanie obrazu pochodzi ztąd, że trwałość wrażeń różnych barw widmowych na siatkówkę nie jest jednaka; giną przeto kolejno różne części składowe światła białego, zkąd powstawać muszą obrazy następcze barwne.

(C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

ROZDZIAŁ IX.

(Ciąg dalszy).

(Cyrus jest przy nich! — Próba z trzaskami. — Wyspa czy ląd stały? — Plany inżyniera. — W jakiej stronie Cichego Oceanu? — W głębi boru. — Sosna z migdałami. — Polowanie na „kabyjasa“ — Dym jako znak dobrej wróżby.)

W kilku słowach zawiadomił marynarz Gedeona Spiletta, Harberta i Naba o położeniu, w jakiem się znajdowali. Wypadek ten, który mógł pociągnąć za sobą nader ważne następstwa —tak sądził przynajmniej Pencroff — wywarł na umysłach towarzyszy zacnego marynarza odmienne nieco wrażenie.

Nab, cały w radośnem uniesieniu z powodu odszukania swego pana, nie słuchał albo raczej nie chciał zwracać uwagi na to, co mówił Pencroff.

Harbert zdawał się do pewnego stopnia podzielać obawy marynarza.

Co się tyczy korespondenta, ten na słowa marynarza odparł tylko:

— Słowo ci daję, Pencroff, że mi to zupełnie jest obojętnem!

— Ależ powtarzam panu, że my ognia nie mamy!

— A, ba!

— Ani żadnego sposobu rozpalenia go.

— Basta!

— Ależ panie Spilett....

— Alboż Cyrus Smith nie jest przy nas? odparł korespondent. Alboż nie żyje nasz inżynier? Już on wynajdzie jakiś sposób rozpalenia ognia!

— Ale czem?

— Niczem.

Co na to miał odpowiedzieć Pencroff? Nic

zgoła, bo w głębi duszy sam podzielał ufność, jaką towarzysze jego pokładali w Cyrusie. Inżynier był dla nich małym światkiem, studnią wszelkiej ludzkiej wiedzy i mądrości! Znajdować się razem z Cyrusem na odludnej wyspie znaczyło w ich mniemaniu tyle, co bez niego w najprzemysłowszem mieście Stanów Zjednoczonych. Gdzie on był, tam im na niczem zbywać nie mogło! Przy nim nie podobna było rozpaczać. Gdyby kto był powiedział tym dzielnym ludziom: wybuch wulkaniczny zniszczy tę ziemię, lub: przepaście Oceanu ją pochłoną, odpowiedzieliby z największym spokojem: Wszak Cyrus jest przy nas! Alboż nie ma Cyrusa?

Tymczasem jednak inżynier pogrążony był w nowym letargu, który podróż wywołała, i w tej chwili przynajmniej niepodobna było korzystać z jego genjuszu. Trzeba było poprzestać na skąpej wieczerzy. Wszystko mięso „tetrasie" było zjedzone a nie było sposobu upiec innej zwierzyny. Zresztą zapas „kurukusów" gdzieś zniknął. Trzeba więc było pójść po rozum do głowy.

Przedewszystkiem zaniesiono Cyrusa do środkowej izby „dymników." Tam sporządzono mu posłanie z suchego ziela morskiego. Głęboki sen, który go owładnął, zdołał pokrzepić i wzmocnić siły jego prędzej i lepiej, niż najobfitszy pokarm.

Tymczasem zapadła noc, a z nią temperatura, którą zmiana wiatru w kierunku północno-wschodnim znacznie była umiarkowała, poczęła chłodnieć na serjo. Ponieważ morze zburzyło było przegrody i zasieki, które Pencroff w niektórych miejscach był porobił, powstały więc na nowo przeciągi, które pobyt w „dymnikach" czyniły nieznośnym. Tym sposobem położenie inżyniera byłoby było dość nieprzyjemne, gdyby towarzysze kamizelkami i kaftanami nie byli go starannie pookrywali.

Wieczerza składała się tego wieczora z nieuniknionych *litodomów*, których obfity zapas uzbierali Harbert i Nab nad brzegiem morza. Do tych mięczaków dodał jednak Harbert pewną ilość jadalnych algów, które zebrał po wysokich skałach, do których morze tylko w czasie wielkich przypływów miało przystęp. Algi te należące do rodzaju roślin morskich były zielem, które wysuszone, dawało sok galaretowaty dość obfity w pierwiastki pożywne. Korespondent i towarzysze jego, pochłonąwszy sporą liczbę litodomów, wyssysali następnie te algi i znaleźli, że smak ich był wcale znośny. Muszę tu nadmienić, że na wybrzeżach azjatyckich algi te stanowią dość ważną część pożywienia krajowców.

— Niech się dzieje co chce — rzekł marynarz — czas już żeby Cyrus przyszedł nam w pomoc.

Tymczasem zimno stało się nad wyraz przenikliwem, a na nieszczęście nie było sposobu ochronić się przed niem.

Marynarz, któremu chłód dokuczał na prawdę, próbował na wszelkie sposoby rozniecić ogień. Nab dopomagał mu w tem przedsięwzięciu. Znalazł trochę mchu suchego, i krzesząc dwa krzemyki wydobywał z nich iskry; ale mech nie będąc dość zapalnym nie zajął się, a zresztą iskry te pochodzące tylko z krzemienia rozpalonego do białości, nie miały tej siły, co iskry wydobywające się ze stali u zwykłego krzesiwa. Próba zatem nie udała się.

Następnie próbował Pencroff, jakkolwiek nie miał żadnego zaufania do tej procedury, trzeć dwa kawałki suchego drzewa, jeden o drugi, na sposób dzikich ludzi. Ruch, jakiego przy tej sposobności użyli wraz z Nabem, gdyby był według najnowszych teoryj przemienił się w ciepło, byłby wystarczył z pewnością do zagotowania kotła parowego. Lecz rezultatu nie było żadnego. Trzaski rozgrzały się wprawdzie trochę, lecz i to daleko mniej od tych, którzy się operacji z niemi podjęli.

Po całogodzinnem daremnem usiłowaniu Pencroff spocił sie jak mysz i z gniewem odrzucił trzaski.

— Jeżeli mnie kto przekona — zawołał — że dzicy tym sposobem rozpalają ogień, to chyba w zimie będą panować upały! Prędzej bym moje ręce zapalił, trąc jednę o drugą!

Marynarz jednak mylił się zaprzeczając zupełnie możliwość tej procedury. Jest bowiem rzeczą stwierdzoną, że dzicy zapalają drzewo za pomocą szybkiego i nagłego potarcia. Lecz nie każdy gatunek drzewa nadaje się do tej operacji, a oprócz tego trzeba mieć jeszcze tak zwane „zacięcie," a tego zacięcia Pencroff widocznie nie posiadał.

Nie długo trwał zły humor marynarza. Owe dwie trzaski, które odrzucił, podjął na nowo Harbert i z sałych sił począł trzeć jednę o drugą. Silny jak lew marynarz wybuchnął śmiechem na widok młodzieniaszka, który próbował swoich sił tam, gdzie on ze swojemi nic nie mógł wskórać.

— O, trzej, chłopcze, trzej co masz sił! — zawołał.

— Ja trę — odparł Harbert śmiejąc się — lecz nie mam innej pretensji, tylko ogrzać się trochę, zamiast dzwonić zębami od zimna, i wnet będzie mi tak ciepło jak tobie, Pencroff!

Bądź co bądź trzeba się było pożegnać na tę noc z myślą rozpalenia ognia. Gedeon Spilett po raz dwudziesty z rzędu powtórzył, że Cyrus taką drobnostką wcaleby się nie troszczył. A tymczasem położył się w jednym z kurytarzy na piasku. Harbert, Nab i Pencroff poszli za jego przykładem, Top zaś spał u nóg swojego pana.

Nazajutrz, 28. marca, około godziny ósmej z rana, inżynier przebudziwszy się ujrzał zgromadzonych około siebie towarzyszy, którzy z niecierpliwością wyczekiwali jego przebudzenia i podobnie jak dnia poprzedniego, pierwsze jego słowa były:

— Wyspa czy ląd stały?

Jak widać była to jego manja.

— Ba, tego jeszcze nie wiemy, panie Smith, odparł Pencroff.

— Jeszcze nie wiecie?

— Ale dowiemy się — wtrącił Pencroff — gdy pan zostaniesz sternikiem naszym w tym kraju.

— Ano spróbuję — rzekł inżynier, wstając bez wielkiego wysilenia na nogi.

— Brawo, to mi się podoba! — zawołał marynarz.

— Umierałem przedewszystkiem z wycieńczenia sił — rzekł Cyrus Smith. — Trochę jadła, przyjaciele moi, a już się to więcej nie powtórzy. Wszak macie ogień?

Zapytanie to pozostało przez kilka chwil bez odpowiedzi. Wreszcie rzekł Pencroff:

— Niestety, nie posiadamy ognia, albo raczej już go więcej nie posiadamy, panie Cyrus!

Poczem marzynarz opowiedział wszystko, co się działo dnia poprzedniego. Rozweselił inżyniera historją o owej jedynaczce zapałce tudzież o owej poronionej próbie rozniecenia ognia na sposób dzikich ludzi.

— Pomyślimy co się da zrobić — rzekł inżynier — a jeśli nie znajdziemy jakiej substancji podobnej do czyru, to...

— To cóż wtedy? — zapytał marynarz.

— Ha, to będziemy fabrykować zapałki.

— Chemiczne?

— Chemiczne!

— Nic łatwiejszego! — zawołał korespondent uderzając marynarza po ramieniu.

Marynarz nie podzielał tego zdania, lecz nie sprzeciwiał mu się. Poczem wszyscy wyszli na dwór. Na niebie zapanowała znów pogoda. Jasne, czyste słońce wynurzało się z fal oceanu i tysiącem złocistych iskier posypało chropowatą powierzchnię olbrzymiej ściany skalnej.

Rzuciwszy wzrokiem do koła, usiadł inżynier na bryle skalistej. Harbert podał mu kilka garści ślimaków morskich, mówiąc:

— Oto wszystko, co w tej chwili posiadamy, panie Cyrus.

— Dziękuję ci, mój chłopcze — odparł inżynier — to wystarczy, przynajmniej na dziś rano.

I z apetytem zajadał tę lichą strawę, zrosiwszy ją poprzednio świeżą wodą z rzeki, naczerpaną do pustej muszli.

Towarzysze spoglądali na niego w milczeniu. Zaspokoiwszy głód, o ile się to dało, Cyrus Smith założył ręce w tył i rzekł:

— A zatem, moi przyjaciele, nie wiecie dotąd jeszcze, czy los nas wyrzucił na stały ląd czy też na wyspę?

— Nie wiemy, panie Cyrus — odrzekł chłopak.

— Więc dowiemy się jutro, rzekł inżynier. Dopóki tego nie będziemy widzieli, nie ma co robić.

— I owszem, odparł Pencroff.

— Cóż takiego?

— Postarać się o ogień, rzekł marynarz, który także miał swoją manję.

— Będziemy go mieli, Pencroff, odparł inżynier. Wczoraj po drodze spostrzegłem na zachodzie górę, zkąd niezawodnie rozlega się widok na całą okolicę.

— Tak jest, rzekł Gedeon Spilett, góra ta zdaje się dość wysoką...

— Otóż jutro, ciągnął delej inżynier, wdrapiemy się na sam szczyt i przekonamy się czy ta ziemia jest wyspą, czy też stałym lądem. Do jutra, powtarzam raz jeszcze, nie ma co robić.

— Ależ jest co rebić, rozpalić ogień, powtórzył uparty marynarz.

— Będziemy go mieli, będziemy! odparł Gedeon Spilett. Chwilkę cierpliwości, Pencroff!

Marynarz popatrzył na Gedeona Spiletta wzrokiem, który zdawał się mówić: „gdybyśmy się na ciebie z tem spuścili, pewnie nie tak prędko włożylibyśmy pieczeń do gęby." Lecz nie rzekł ani słowa.

Cyrus Smith milczał także. Kwestja ognia zdawała się go mało interesować. Kilka chwil siedział tak zatopiony w myślach, poczem odezwał się znowu:

— Położenie nasze, przyjaciele moi, jest może opłakane, lecz w każdem razie bardzo proste. Albo znajdujemy się na stałym lądzie, a w takim razie z większym lub mniejszym trudem dotrzemy wreszcie do miejsca gdzie mieszkają ludzie, albo też znajdujemy się na wyspie. W tym ostatnim zaś wypadku czeka nas jedno z dwojga: jeśli ta wyspa jest zamieszkałą, spro-

bujemy dać sobie radę z jej mieszkańcami, jeśli zaś jest odludną, będziemy musieli radzić sobie sami.

— Zapewne, że to rzecz bardzo prosta, odparł Pencroff.

— Ale na wszelki wypadek, zagadnął Gedeon Spilett, czy to ląd stały czy wyspa, jak sądzisz Cyrusie, dokąd nas mógł ten orkan zapędzić?

— Prawdę mówiąc, wiedzieć tego na pewne nie mogę, odparł inżynier, wszelkie jednak prawdopodobieństwo przemawia za tem, że się znajdujemy na którejś z wysp Cichego Oceanu. W istocie, gdyśmy opuszczali Richmond, wicher dął w stronę północno-wschodnią i sama gwałtowność jego pozwala przypuszczać, że kierunku nie zmienił. Jeśli więc ten kierunek od północno-wschodniej ku południowo-zachodniej stronie się utrzymał, przelecieliśmy Stany Karoliny Północnej, Karoliny Południowej, Georgję, węższą część zatoki Meksykańskiej, Meksyk sam i kawał Cichego Oceanu. Przestrzeń jaką balon przeleciał nie cenię wyżej jak sześć tysięcy mil, a przypuściwszy że wiatr w tym czasie zmienił kierunek na jedną ósmą część prostego kąta, w takim razie zapędził nas albo na archipelag Mendański, albo do wysp Pomotuańskich, albo nawet, jeśli siła jego była większą niż przypuściliśmy, do lądu Nowej Zelandji. Gdyby ta ostatnia hipoteza okazała się prawdziwą w takim razie powrót nasz do ojczyzny nie ulegałby wielkim trudnościom. Czybyśmy trafili na Anglików czy na Maurysów, zawsze by się było z kim rozmówić. Jeśli zaś przeciwnie ziemia ta, na której się znajdujemy, jest jedną z odludnych wysepek jakiego malutkiego archipelagu, a może zdołamy przekonać się o tem z owego szczytu góry w takim razie nie pozostanie nam nic, jak tylko rozgospodarować się tak, jak gdybyśmy już nigdy ztąd wyjść nie mieli.

— Nigdy! zawołał korespondent. Ty powiadasz nigdy, kochany Cyrusie?

— Lepiej od razu brać rzecz z najczarniejszej strony, odparł inżynier, a coś lepszego za niespodziankę uważać.

— Jest racja! rzekł Pencroff. A zresztą miejmy nadzieję, że wyspa ta, jeśli to jest wyspa, leży przy drodze, którą płyną okręty! Inaczej chyba by się już uwzięło na nas licho!

— Będziemy dopiero wtedy wiedzieli czego się trzymać, rzekł inżynier, aż wyleziemy na tamtą górę i ztamtąd się rozpatrzymy.

— Lecz będziesz-że pan miał dość sił jutro, ażeby znieść trud takiej wyprawy? zapytał Harbert.

— Mam nadzieję, odparł inżynier, ale pod warunkiem, jeżeli pan, mości Pencroff i ty moje dziecko, spiszecie się dziś, jak na tęgich myśliwców przystało.

— Mości Cyrus, odparł marynarz, ponieważ pan mówisz o zwierzynie, to powiem panu, że gdybym był tak pewny, że za powrotem będę ją mógł upiec przy ogniu, jak jestem pewny, że ją dostarczę...

— Dostarcz nam jej tylko, dostarcz, mości Pencroff, odparł Cyrus Smith.

Ułożono zatem, że inżynier z korespondentem przepędzą dzień ten w „dymnikach,“ ażeby się rozpatrzeć po wybrzeżu i skalistej wyżynie. Przez ten czas Nab, Harbert i marynarz mieli wrócić do lasu, odnowić zapas drzewa i skręcić kark każdemu pierzastemu i skrzydlatemu stworzeniu, któreby im wlazło w drogę.

Ruszyli zatem w drogę około godziny dziewiątej zrana: Harbert pełen najlepszej otuchy, Nab wesół i rozradowany; Pencroff na odchodnem mruknął pod nosem.

— Jeżeli za powrotem znajdę ogień w domu, to chyba sam piorun we własnej osobie przyszedł go zapalić!...

Wszyscy trzej podążyli brzegiem rzeki w górę; i przybywszy na miejsce w którem rzeka tworzyła kolano, marynarz zatrzymał się i rzekł:

— Czy mamy być wprzód myśliwymi, czy wprzód drwalami?

— Myśliwymi, odparł Harbert. Ot Top już coś myszkuje.

— Więc chodźmy na polowanie, rzekł marynarz, potem wrócimy tu po drzewo.

Poczem Harbert, Nab i Pencroff, wyłamawszy trzy potężne kostury z młodej jedliny, pospieszyli wślad za Topem, który skacząc przedzierał się wśród wysokich zarośli.

Tym razem myśliwi nasi, zamiast iść wzdłuż rzeki, zapuścili się prosto w głąb lasu. Napotykali te same drzewa, co pierwej, należące po większej części do rodzaju drzew szyszkowych. Gdzie niegdzie sosny te rzadziej porozrzucane i porozgraniczane kłębami mniejszych krzewów, posiadały wspaniałe rozmiary i wskazywały tem samem, że kraj ten położony był pod wyższym stopniem szerokości geograficznej, niżeli przypuszczał inżynier. Tu i owdzie napotykali wśród lasu małe polanki, na których sterczały pnie nadszczerbione zębem czasu, na ziemi w koło leżało mnóstwo suchych gałęzi stanowiących niewyczerpany zapas paliwa. Minąwszy te polanki las gęstniał coraz bardziej i stawał się prawie nieprzebytym.

Kierować się wśród tych drzew olbrzymich, bez żadnej ścieżki wytycznej, nie było rzeczą tak łatwą. To też marynarz od czasu do czasu nadłamywał po drodze gałęzie drzew, tworząc tym sposobem drogoskazy, łatwo wpadające w oko. Lecz może źle postąpił sobie tym razem nie idąc za biegiem rzeki, jak to na pierwszem polowaniu uczynili z Harbertem, gdyż po całogodzinnem chodzeniu nie trafili jeszcze na żadną zwierzynę. Top biegnąc po pod niskie gałęzie płoszył tylko ptaki, do których niepodobna było się przybliżyć. Kurukusów nawet nie było widać, zdawało się więc, że marynarz będzie musiał wrócić nazad w tę bagnistą stronę lasu, gdzie tak pomyślnie wypadł był połów na tetrasy.

— A no! panie Pencroff, odezwał się Nab z lekkim sarkazmem, jeżeli to ma być ta zwierzyna, którą obiecałeś pan dostarczyć mojemu panu, to nie wiele potrzeba będzie ognia, ażeby ją upiec!...

— Trochę cierpliwości, Nab, odparł marynarz, co jak co, ale pewnie nie zwierzyny braknie za naszym powrotem!

— Więc nie masz pan zaufania do pana Smitha?

— I owszem.

— Ale nie wierzysz pan, żeby nam dał ognia?..

— Uwierzę, gdy drzewo zapłonie na ognisku.

— Będzie płonąć, bo Pan mój tak powiedział!

— Zobaczymy!

Tymczasem słońce nie stało jeszcze u szczytu widnokręgu. Poszukiwania więc szły dalej a Harbert zrobił niebawem bardzo pożyteczne odkrycie, wynalazł bowiem drzewo z jadalnemi owocami. Był to rodzaj sosny wydającej ziarna podobne do wybornych migdałów, wielce cenione w umiarkowanych strefach Ameryki i Europy. Migdały te były zupełnie dojrzałe i Harbert wskazał je swoim towarzyszom, którzy się niemi uraczyli do syta.

— Tak to, rzekł Pencroff, zamiast chleba algi, zamiast mięsa surowe ślimaki i migdały sosnowe na deser, oto objad stworzony dla ludzi, którzy ani jednej zapałki nie mają w kieszeni!

— Nie trzeba się skarżyć, odrzekł Harbert.

— Ja się też nie skarżę, mój chłopcze, odparł Pencroff, powtarzam tylko że w naszych biesiadach daje się nam czuć trochę brak mięsa!

— Top innego jest zdania.... zawołał w tej chwili Nab i podbiegł ku gęstwinie, zkąd dolatywało szczekanie psa. Ze szczekaniem Topa mięszały się dziwne tony podobne do kwiku prosięcia.

Marynarz z Harbertem pospieszyli w ślad za Nabem. Jeśli to była zwierzyna, to zamiast rozprawiać nad tem, jakimby sposobem ją upiec, należało wprzód pomyśleć jakby ją dostać w ręce.

Zaledwie weszli w gęstwinę, ujrzeli Topa borykającego się z jakiemś zwierzęciem, które przytrzymywał zębami za jedno ucho. Czworonożne to stworzenie podobne było do wieprza i miało więcej niż półtrzecia stopy długości, było maści ciemno brunatnej, jaśniejszej na brzuchu, miało sierść twardą i rzadką i palce u nóg, któremi właśnie z całej siły uczepiło się ziemi, zrośnięte błoną.

Harbert poznał w niem „Kabyjasa“, który jest jednym z większych okazów należących do rodzaju strzyżaków.

Tymczasem „kabyjas“ nie wydzierał się wcale psu. Toczył tylko dokoła swojemi dużemi głupowatemi ślepiami, osadzonemi głęboko wśród grubej powłoki tłuszczu. Być może, że pierwszy raz w życiu widział ludzi.

Nab ująwszy silniej kostur w rękę zamierzał się właśnie palnąć go w łeb pałką, gdy w tem zwierz wydarł się Topowi, zostawiając mu w zębach kawałek odgryzionego ucha, wydał kwik przeraźliwy, rzucił się na Harberta, omal go z nóg nie powalił i znikł w gęstwinie.

— A to drab! zawołał Pencroff!

Wszyscy trzej popędzili co tchu w ślad za Topem i w chwili gdy go doganiali, zwierz rzucił się do bagna dość dużego ocienionego w koło stuletniemi sosnami i zniknął pod wodą.

Nab, Harbert i Pencroff stanęli na brzegu jak wryci. Top wskoczył do wody ale „kabyjas“ zanurzył się do bagna i nie pokazywał się na wierzch.

— Czekajmy, rzekł Harbert, wkrótce będzie musiał wypłynąć, ażeby nabrać tchu.

— A nie utonie? zapytał Nab.

— Nie, odparł Harbert, ma nogi płetwowate i jest na pół amfibją. Czatujmy tu na niego.

Top pływał po bagnie. Pencroff i jego dwaj towarzysze rozstawili się do koła brzegu, ażeby odciąć „kabyjasowi“ drogę do ucieczki, a pies szukał go po całem bagnie.

Słowa Harberta sprawdziły się. Po kilku minutach zwierz wypłynął znów na powierzchnię wody. Top jednym susem rzucił się na niego i nie dał mu się więcej zanurzyć. W kilka chwil później przyciągnął go Top aż do brzegu a Nab jednem uderzeniem pałki ubił go na miejscu.

— Hurra! krzyknął Pencroff, który miał słabość do tego okrzyku tryumfalnego. Dajcie

mi tylko jeden żarzący węgiel a obgryziemy go do kości!

Pencroff wziął „kabyjasa“ na plecy a sądząc po słońcu że mogła już być godzina druga z południa, dał znak do odwrotu.

Instynkt Topa przydał się bardzo naszym myśliwcom, którzy dzięki temu sprytnemu przewodnikowi, odnaleźli napowrót tę samą drogę, którą przyszli. W pół godziny przybyli do kolana rzeki.

Podobnie jak pierwszym razem sporządził Pencroff na prędce spław z drzewem, jakkolwiek w braku ognia uważał tę całą robotę za niepotrzebną, poczem, pędząc spław z biegiem wody, przybyli do „dymników“.

Ale na pięćdziesiąt kroków przed „dymnikami“ marynarz zatrzymał się nagle, po chwili wzniósł powtórnie grzmiące „hurra!“ i wskazując ręką na róg skalnego urwiska, zawołał:

— Harbert! Nab! Widzicie!

Przed skałą wzbijał się gęstemi kłębami — dym!... (C. d. n.)

DOBRY PRZYTUŁEK.

(Le bon gite)

Naśladowane

ze

Śpiewów żołnierza „Le chants du soldat“

PAWŁA DÉROULÈDE

„Staruszeczko! Dosyć tego!
Jam już ogrzał się jak trzeba —
Oszczędź resztek drzewa twego...
Srogą zimę dały nieba,
Z Prusakami ta w przymierzu!“
Gdzietam! Babuś ani słucha,
Drew przykłada — chucha — dmucha.
„Grzej się! Grzej się! Mój żołnierzu!“

„Staruszeczko! Jako żywo!
Jam już najadł się do syta —
Schowaj! Zda ci się mięsiwo...
Schowaj! Zda się okowita —
Wszak nie zbytki w twym śpichlerzu!“
Gdzetam! Babuś nie ustaje
To nalewa, to znów kraje,
„Krzep się! Krzep się! mój żołnierzu!“

„Staruszeczko! To za wiele!
Żarty stroisz li widoczne —
Własne łóżko dlą mnie ściele —
A na ławie, czy nie spocznę?
Wstydziłbym się chrapać w pierzu!“
Gdzietam! Babuś, z gościnności
Wciąż poprawia, gnieździ, mości,
„Zaśnij! Zaśnij! Mój żołnierzu!“

„Dzień już świta! Pora w drogę!
Co to? Co to? Czy wzrok mami?
Dźwignąć torby mej nie mogę...
Tak ładowna przysmakami!
Staruszeczko!!“ Lecz w pacierzu
Krzyż nad moją kreśląc głową
Babuś rzewne szepce słowo:
„Syn mój w wojsku też, żołnierzu!“

Paryż dnia 6. kwietnia 1875.

Naśladował
J. S. Chamiec.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

ROZDZIAŁ VI.

(Ciąg dalszy.)

— Nie jest-że to grzechem — zawołała pani Helena wchodząc na werandę, gdzie szlachetny kunszt wista prosperował jeszcze ciągle w najlepsze — nie jest-że to grzechem, przepędzać w ten sposób najpiękniejszy wieczór czerwcowy, wędzić się w dymie cygarowym, smażyć się w dusznem powietrzu, i nabawiać się uderzeń krwi do głowy za pomocą piwa i śliwowicy! I to jest klub „pozytywistów!“ Pożal się Boże! To się nazywa, szukać prawdy w życiu!

— A gdzież ją znaleźć, łaskawa pani? — zapytał doktor Chimerski, z urzędu swojego sceptyk i niedowiarek pierwszej próby.

— Gdzie? W polu, w lesie, na łąkach, w powiewie wiatru, w świegotaniu ptaków, w woni łąk kwiecistych! — odparła pani Zamecka z humorystyczną emfazą.

— Umiemy to na pamięć — zauważył pan Zgorzelski. Wszystko to umiemy: „polu, bolu; łęgi, wstęgi; wiatru, teatru; ptaków, niebieskich szlaków; kwiecistych, srebrzystych.“ To opisał nader gruntownie i znakomicie potężny genjusz nieśmiertelnego Dziwosława Habdank Przytulickiego w „Straży literackiej,“ a idealna muza Eglantyny z nad Popradu zawtórzyła mu w „Kwartale literackim, pszczelniczym i ekonomicznym,“ śpiewem jak wiatrów powiewem, i dźwiękiem jak jękiem.“ Ja trzymam z Polem: Na dno życia, na dnie prawda! I w istocie, p. Alfred wychylił do dna kieliszek śliwowicy, stojący przed nim, poczem z minką przecudnie parodjującą skrzywienie się dziecka, gdy prosi o cukierek, zwrócił się do panny Wandy z prośbą o drugi kieliszek.

— Jaki on dowcipny, i jaki on wesół, i jaki on piękny, i jak, o jak rada rzuciłabym mu się na szyję — pomyślała panna Wanda, i nietylko pomyślała, ale powiedziała, choć nie ustami, lecz oczyma i drżeniem ręki piastującej flakon z nieolimpijskim nektarem.

— I te uwagi, które pan robisz, czytaliśmy w rozmaitych fejletonach humorystycznych, odcięła się pani Zamecka. Jeżeli pan co zapomniałeś, to Wicenty poda panu ostatni niedzielny numer waszego „Desperata Polemicznego.“ Ale, żart na stronę, przyznajcie panowie, kto jest bliższym prawdy, czy my idealiści, gdy zachwycamy się przyrodą lub usiłujemy wypowiedzieć nasze myśli i uczucia, o ile nieudolny język ludzki zdobyć się na to może, czyli też wy, którzy stwarzacie sobie sztuczne przyjemności i rozkosze, wcale nie roskoszne, i chełpicie się tem, że jesteście pozytywistami?

— Ależ, moja duszko, zaprotestował pan Tadeusz, któż ci kiedy mówił, że pozytywizm polega na dymieniu tytoniem, i na piciu piwa i śliwowicy? Albo, że zamiłowanie w prawdziwych pięknościach przyrody jest idealizmem? Nie ma nic prawdziwszego, a tem samem pozytywniejszego nad to, co rozwesela oko, lub w ogóle działa przyjemnie, przez zmysły na umysł. Idealizmem jest wmawianie w siebie i w drugich, uczuć i wrażeń, których się rzeczywiście nie doznaje, albo snucie wyobrażeń i pomysłów, nie mających nigdzie gruntu praktycznego, a często i logicznego.

— Więc w takim razie mają słuszność ci, którzy pozytywistom zarzucają zbytek „praktyczności.“

— Nie podchwytuj - bo duszko wyrazów — odparł żywo p. Tadeusz, który miał już od dłuższego czasu minę jakoś szczególnie zniecierpliwioną i jakby niespokojną. Mówiłem o gruncie „praktycznym,“ nie w zwykłem znaczeniu tego słowa, ale dla tego, że brakło mi innego wyrażenia, ażeby określić to, co istnieje w czynie, w działaniu. Widzisz: *pragma*, po grecku, oznacza czyn....

W tej chwili p. Tadeusz chwycił się lewą dłonią za pierś, i zrobił giest taki, jak gdyby chciał odetchnąć głęboko, a nie mógł. Wszyscy spojrzeli na niego, a p. Zamecka zerwała się mocno zaniepokojona i szybko przystąpiła ku niemu.

— Co tobie jest, Tadeuszu, na miłość Boga, tyś słaby!

— Nie, nie, to zaraz przejdzie — odparł p. Tadeusz, zmieniony do niepoznania, i bardzo blady w twarzy. Dr. Chimerski wziął go był za puls, a żona objęła go ramionami za szyję, stojąc nad nim.

— Ja panu zawsze powtarzam, że pan sobie kiedyś napytasz biedy, tą przebrzydłą śliwowicą. Jak można pić kwas sinowodowy, choćby w największem rozcieńczeniu! Zwłaszcza przy pańskiej kompleksji! W ogóle, niechaj pani dobrodziejka raczy zamknąć na klucz wszystkie śliwowice, likiery i *chasse-café* w całym domu, i nie wydawać ich bez ordynacji lekarskiej. Wszystko to są trucizny dla męża pani.

— Zostawcie mię, już mi lepiej — rzekł p. Zamecki, uwalniając się łagodnie od pieszczot żony i chwytając powietrze pełnemi piersiami.

— Co to jest, kwas sinowodowy, panie konsyljarzu? — zapytała pani Helena, nieco uspokojona.

— To, co nazywają zwykle kwasem pruskim. Jest to piorunująca trucizna, zawarta między innemi w pestkach rozmaitych owoców, osobliwie zaś w gorżkich migdałach, które jej zawdzięczają swój zapach. Kilka kropli tego kwasu wystarcza, ażeby zabić człowieka.

— W istocie — zauważyła pani Zamecka, powąchawszy kieliszek swojego męża — odór tej śliwowicy przypomina mi coś, na kształt wawrzynowych kropli, albo gorżkich migdałów. Jakże ty możesz być takim nieostrożnym, takim niedobrym, dodała zwracając się do męża, ażeby brać do ust coś podobnego! O, skończyło się, ostatni raz ten nektar pojawił się dzisiaj na stole, chociażbyś się miał gniewać. Wolę cię widzieć zagniewanym, niż otrutym, ty, ty, niepoczciwy, kochany....

Tu nastąpiły nowe pieszczoty, którym nie bronił się p. Tadeusz. Po chwili dopiero rzekł z uśmiechem:

— Facecje, moja duszko, konsyljarz straszy się niepotrzebnie. W całej beczce śliwowicy nie wiem, czy jest jedna kropla kwasu sinowodowego. W kroplach wawrzynowych jest go dziesięć razy więcej, a zapisują je dzieciom.

— Nie można tego nigdy orzec z pewnością, ile trucizny zawiera się w danym razie w pewnej kombinacji organicznej, dla tego też niechętnie zapisujemy leki tego rodzaju, bo nie da się przewidzieć, w jakim stosunku trucizna znajdować się będzie do wody i innych części składowych leku. Potrzebaby pierwej robić analizę chemiczną w aptece. To pewna, że sposób preparowania śli-

wowicy sprzyja niezmiernie rozwijaniu się kwasu pruskiego.

— Jak to, sprzyja? — zapytała pani Zamecka naiwnie.

— Musiałbym panią znudzić całym traktatem o chemji....

— Nie znudzę się z pewnością. Gdybym nie była zbyt starą, uczyłabym się chemji z przyjemnością, już dla tego samego, że to pozytywna wiadomość, a ja chciałabym raz zostać prawdziwą pozytywistką dla przypodobania się Tadeuszowi. Tym razem, lekcja będzie podwójnie korzystną, bo odstraszy go ona może od śliwowicy.

— Ha, więc proszę o uwagę. Pestki niektórych owoców, jako to: trześni, śliwek, brzoskwiń, migdałów itp. zawierają dwie części składowe: amygdalinę i emulsynę. Pierwszą z tych części wyciąga z pestek wyskok, czyli alkohol. Otóż amigdalina, rozpuszczona w wodzie wraz z emulsyną, daje jednę część olejku migdałowego, dwie części cukru, a jedną kwasu sinowodowego. Ponieważ przy fabrykacji śliwowicy schodzą się te trzy niebezpieczne żywioły: pestki ze śliwek, alkohol, i woda, więc niewątpliwie wytwarza się przy tej sposobności kwas pruski, a ponieważ fabrykant nie może przewidzieć, w jakiej ilości to nastąpi, więc nie przewiduje także, czy otruje swoich konsumentów od razu, czy powoli.

— Widzisz, widzisz Tadziu! — wołała pani Helena, p trząc z obawą na męża.

— Symptomata otrucia kwasem sinowodowym — ciągnął dalej doktor, wpadłszy w zapał profesorski, są czemś, co pana jeszcze bardziej odstraszyć powinno od picia śliwowicy, podobne są bowiem bardzo do tego, czego pan doświadczyłeś przed chwilą, i to nie dzisiaj po raz pierwszy, jak sobie przypominam. Pierwszym objawem jest trudność oddychania, zawrót głowy, ściskanie się serca, rodzące uczucie obawy, niezwykły blask oczu i zawracanie się ich w słup. To wszystko mogłem wydemonstrować w panu, przed chwilą, jak na klinice. Potem następują konwulsje, kurcze, krzyk głośny, ogólne porażenie, serce przestaje bić, i rzecz skończona, często w przeciągu kwadransa, albo i jednej minuty. Zależy to od wielkości dawki.

— Ach, to okropne! były słowa pani Zameckiej. Spodziewam się, że takich trucizn nie sprzedają w aptekach?

— Samego kwasu sinowodowego nie trzymają nawet, ale tu i owdzie mają sinek potasu, potrzebny fotografom do ich rzemiosła. Wyjdzie to na jedno. Wszak w gazetach czytamy co chwila o wypadkach otrucia tą ingredjencją, której jedna łyżeczka od kawy dostateczną jest do sprowadzenia natychmiastowej śmierci.

— Radbym wiedzieć — zagadnął ks. Chyżycki — czy po śmierci lekarze mogą odszukać w ciele ślady tej trucizny?

— Poszlaką jej bywa tylko odór gorzkich migdałów, inne znamiona są wątpliwe. Na razie tylko można stwierdzić obecność kwasu sinowodowego za pomocą pewnych reagensów chemicznych. Wszelako rozkłada on się szybko, i wraz z nim, ginie odór.

— Tadeuszu — zawołała znowu pani Helena niespokojnie — tobie ciągle niedobrze! Panie konsyljarzu, patrz pan na niego!

W istocie p. Zamecki pobladł był gorzej niż pierwej, oddychał z trudnością, i przyznał się, że doznaje silnego zawrotu głowy. Pomimo wszelkiego nadrabiania miną musiał wkrótce uledz naleganiom żony i doktora, i udać się do swego pokoju, rozebrać się i położyć do łóżka. Pani Helena zaledwie pozwoliła służącemu wejść do pokoju, i sama pełniła jego funkcje z niesłychaną troskliwością, jakoteż z bezradnością, która była skutkiem widocznego jej pomięszania i przestrachu. Tadeusz śmiał się i usiłował ją uspokoić, ale nadaremnie. Po chwili, wybiegła do salonu, gdzie zostali byli pp. Chimerski i Zgorzelski wraz z panną Wandą, podczas gdy proboszcz wraz z Wacławem pożegnali zaraz z początku państwa Zameckich i odeszli. Pani Helena oświadczyła doktorowi, że go nie puści do domu, i że będzie nocował w zamku. Konsyljarz przystał na to chętnie, ale zapewniał p. Zamecką kategorycznie, że obawy jej są płonne, i że nie ma się czem niepokoić.

— Tadeusz tyje w ostatnich czasach znacznie, mówił, i to długie siedzenie na werandzie, połączone z piciem piwa, sprawia mu dolegliwości tego rodzaju. Umyślnie straszyłem go, że się truje — może się uda nakłonić go powoli do innego sposobu życia. Potrzeba mu więcej ruchu, a mniej piwa i mniej uporczywego obstawania przy różnych innych szkodliwych nawyczkach.

— Niechaj-że konsyljarz będzie łaskaw pójść do niego i zbadać, jak się ma. Jestem tak przerażoną, pod wpływem pańskiego wykładu z chemji, że drżę cała. Wandziu... ach... wody!...

To mówiąc, usiadła na kozetce, w półcieniu. Widocznie słabo jej się zrobiło. Wszyscy rzucili się do karafki z wodą, napiła się trochę i zaklinała doktora, ażeby szedł do Tadeusza.

— Proszę się mną nie kłopotać, ja nie zemdleję. Nigdy w życiu nie zemdlałam. Niech-że konsyljarz będzie łaskaw iść do pokoju mojego męża.

— Co za niezrównana kobieta! pomyślał dr. Chimerski, wykonując jej polecenie. Dobra, uczuciowa, kochająca, rozumna, i ani śladu jakiegokolwiek udawania, pozowania! Żadnej, choćby najniewinniejszej, zwykłej „kobiecej blagi!“ Nieoceniona kobieta.

— Biedna Helenka, myślała panna Wanda. Ach, gdyby Alfred tak pobladł, i gdyby mu brakło oddechu, jakżebym się zlękła!

— Moja droga Wandzuniu, bądź łaskawa.... Mnie trochę niedobrze. Tam w moim budoarze, na gotowalni, albo na stoliku koło krosienek, jest flakonik z octem toaletowym. Gdybyś mi go przyniosła! — I to rzekłszy, pani Helena oparła bezwładnie głowę o poręcz kozetki.

Wandzia wybiegła do budoaru. W salonie, naprzeciw pani Zameckiej, stał tylko p. Alfred.

(C. d. n.)

KAPRYSY

I.

Notturno majowe.

Turkusowe, opalowe,
Księżycowe światło hojne
Leje się na moją głowę,
Na me skronie niespokojne —
I uśmierza myśli wojnę
I milczeniu daje mowę.

Każdy głuchy jęk w przestrzeni,
Każdy ziemski dźwięk niesforny
Prawu harmonji pokorny
We mnie się w muzykę mieni...
Jak gaj jestem — pełen pieśni,
Pełen szeptów, gwarów, szumów —
I tych snów, o których nie śni
Zakarmiona dusza tłumów.

Świecże światło księżycowe,
Turkusowe, opalowe; —
Spływaj wciąż do mego łona
Gwiazdo cicha a niezmienna, —
I zatapiaj bole, troski!
Tyś błękitna lampka senna,
Nad snem świata zawieszona,
Tkliwą ręką Matki Boskiej!...

Maluj cały świat inaczej,
Zatrzej pamięć dnia i słońca,
I każ sercu: niech przebaczy!
I każ — pycha niechaj spadnie
Z mózgu - mgły ze źrenic szare —
I każ duszy: niech się kładnie
U stóp bożych, — błagająca
O nadzieję, miłość, wiarę!...

III.

Drżącej Zosi.

Często widzę cię schyloną,
Jakbyś niosła krzyż;
Gorączkowo bije łono,
Wstrząsasz się i drżysz.

Drżysz, a bliscy tobie z trwogą,
Śledzą drżenie to;
Tracą serca ciszę błogą,
Ronią łzę za łzą.

Ja sam jeden patrzę w ciszy,
Wolny od tych trwóg,
Bo wiem, jakich towarzyszy
Czucie daje Bóg.

Wiem i o nic się nie boję:
Duchy żywe drżą;
Nie pierwsze to drżenie twoje,
Nie ostatnie to.

Będziesz drżała jeszcze w życiu,
Przed burzą — jak liść;
W dniach roskoszy — jako w kwieciu,
Białym lipy kiść.

Jak kwiat przed nadejściem zorzy,
Albo w czarny dzień
Jak osina, którą trwoży,
Własny smutny cień.

Jak mimoza — gdy obaczy
Zdradnej ręki sieć..
Tak ty, — wciąż i wciąż inaczej,
A wciąż będziesz drżeć.

Bo wiedz, — choć mędrzec z ukrycia,
Zrobi wzgardy giest —
Drżenie to jest formą życia,
Samem życiem jest.

Tylko w czarnej cichej ziemi,
Nie ma żadnych drgnień ..
Lecz i wtedy. . nad drogiemi
Zawiśnie twój cień.

Dzieląc sny ich i porywy
Dzieląc ból, czy szał:
Będzie smętny, lub szczęśliwy,
Po nad niemi drżał!

Wł. Ordon.

POGADANKI.

XIX.

Nie pomoże i najżyczliwsze milczenie swoich, otaczające pacjenta: ludzie obojętni dostrzegą wnet, że policzki jego zapadają się, oko traci blask, a siły nikną z dniem każdym. I wkrótce to, co chory, sam czuje, a czego nie mówią mu najbliżsi krewni i przyjaciele, aby go nie zmartwić i nie pogorszyć jego stanu — staje się gło-

śnem w całem mieście, dzięki owym ludziom obojętnym.

Takim pacjentem niestety jest nasz teatr lwowski. Cierpi on na suchoty szczególnego rodzaju. Raz zaczynają galopować, a wówczas zbiegają się różni przedsiębiorcy *des pompes funèbres* i ofiarują chętne swoje usługi. Wszelako, lekarze dokazują cudów: konsumcja z galopu przechodzi w kłus i powstaje nadzieja wyleczenia chorego. Rodzina artystyczna i przyjaciele-recenzenci pocieszają znajomych na prawo i na lewo, że był to tylko atak chwilowy, pochodzący raczej ze zbytku zdrowia, że „nic mu nie będzie,“ i że w ogóle nie było jeszcze na świecie tak „murowanej konstytucji,“ jak konstytucja tego biedaka. Jeden tylko przyjaciel i kuzyn, o którym mówią, że liczy na spadek po chorym, zawodził jakiś czas w niebogłosy i chciał już kazać dzwonic na pogrzeb — ale mu wyperswadowano, że to nieprzyzwoicie, i że wypada czekać z konduktem, póki nie będzie nieboszczyka. Obojętni widzowie tymczasem mówią głośno o tem co się dzieje, i mówią, że źle się dzieje — a do rzędu tych obojętnych widzów należy cała szanowna publiczność naszego grodu. Stoicyzm jest cnotą przeważającą w charakterze moich kochanych współobywateli. Niedawno twierdził w pewnem tutejszem piśmie jakiś zapalczywy zwolennik *Krystynosów* hiszpańskich, że gdyby infant Don Alfons — syn don Juana de Burbon y Braganza, a nie przeciwnik jego, król Don Alfonso — zamieszkał na Chorążczyźnie, albo na Łyczakowie, działoby mu się jeszcze gorzej, niż w Gratzu. Twierdzenie to jest mylnem, mamy bowiem świeże dowody historyczne, że dwóch *commis-voyageurs* pruskich znieważyło na ulicy przyzwoitą obywatelkę Lwigrodu, i obiło stróża porządku publicznego, a mimo to dostali się z całemi kośćmi do kozy i za granicę. *Ergo*, naród mój jest niewątpliwie pełnym stoicyzmu, i gdyby infant Don Alfonso i infantka Donna Maria das Neves osiedli nad Pełtwią, byliby narażeni na nieprzyjemności jedynie ze strony komiwojażerów pruskich; co się zaś tyczy teatru, Katon z Utyki ani Seneka nie mogli rozpamiętywać kwestji życia lub śmierci z zimniejszą krwią, jak naród ten zapatruje się na to, co jest lub będzie w gmachu skarbkowskim. Stoicyzmu tego nie zachwiała nawet najkrwawsza obelga, jaką kiedykolwiek wyrządzono „narodowi“ — ta mianowicie, którą mu rzucił w oczy tłumacz „Pięknej Heleny,“ w trzecim akcie tej „sztuki.“ Oto Parys, przebrany za heleńskiego wajdelotę, śpiewa Niemcom:

„*Erfahre, Volk von Griechenland, vor Allen*“

Do nas zaś Lwowian przemawia tak:

„Słuchaj, ty, mazgajów nędzna zgrajo!“

Jezeli to nie jest niegrzecznością, albo przynajmniej brakiem delikatniejszych względów towarzyskich, to chyba „z nią albo na niej“ nie jest cytatem historycznym, a Wysoki Zamek nie jest górą, ale doliną. Nazwać „mazgajów nędzną zgrają“ taki piękny naród, mieszkający od rogatki do rogatki, naród przypatrujący się codzień p. Gordonowi, naród posiadający takie dumne pałace i taki pilny urząd budowniczy! To było niegrzecznością, a jednak nikt się nie obraził, bo naród mój jest stoicznym, i nie emigruje do Kulikowa, chociaż topi się na środku ulic i bywa rozszarpywanym przez psy w samym rynku. Są wprawdzie skeptycy, którzy zaprzeczają nawet stoiczności wszelkiej mojemu narodowi, twierdząc raczej, iż po prostu opuścił uszy, i nic więcej — ale to nie prawda, dość oglądnąć *Szczutka*, ażeby się przekonać, że nie prawda. Jesteśmy stoikami, zwłaszcza młodsza generacja.

Otóż ten stoicyzm nie powstrzymuje narodu od robienia uwag nad przebiegiem choroby teatralnej, a uwagi te niestety nie zgadzają się z biuletynami, ogłaszanemi w dziennikach. Jedna z nich brzmi np. tak, że gdyby już raz, przez ciąg trzech miesięcy przynajmniej, utrzymała się ta sama dyrekcja i ta sama administracja, byłoby to objawem lepszego zdrowia, ale objawu takiego nie widać. Częstej zmianie dyrekcji i administracji przypisują niektórzy pewne niedostatki teatru, podczas gdy drudzy właśnie tym niedostatkom przypisują częste zmiany dyrekcji i administracji. Jest to widocznie błędne kółko przyczyn i skutków, z którego wybrnąć nie podobna.

Inne uwagi czynią miłośnicy opery. Proszę pamiętać, że wszystko to spisuję z punktu widzenia „obojętnych widzów,“ a sam nie mam najmniejszego zdania o teatrze, z bardzo ważnego powodu — z tego samego mniej więcej, dla którego szanowny czytelnik, jeżeli nie był w Ameryce, nie może wiedzieć, jak wygląda ratusz w Nowym Yorku. Otóż miłośnicy opery, Bóg wie dlaczego, utrzymują, że panna Kramer, jakkolwiek lubioną jest artystką, nie odpowiada pojęciu primadonny, jakoteż, że panna Wajcówna nie może stanowić głównej i jedynej podpory operetek. Ja się na tem nie rozumiem, ale tak mówią, a co gorsza, skoro mówią, zaraz w kasie panuje głucha cisza i po jutrze mamy znowu nowego dyrektora, nowego administratora, i tę samą pannę Kramer i pannę Wajcównę.

Z jednej jeszcze strony nakoniec, zaczynają mówić o zupełnem zwinięciu opery. Nic łatwiejszego — ale w takim razie, mówią drudzy, sejm nie da subwencji szesnastotysięcznej, i słusznie postąpi. Dosyć, że wszyscy coś mówią, i wszyscy zdają się mieć słuszność, a tylko nikt nic poradzić nie może. To jedynie jest pewnem, że teatr jest chorym, i że przyczyną jego choroby jest ustalona w nim dziedziczność niedoboru, przechodzącego z jednej dyrekcji na drugą z powodu, iż żaden następca nie ma cierpliwości zaczekać, ażeby jego poprzednik, jak to mówią, „zamknął budę.“ W takim razie, musiałby nastąpić jakiś konkurs i t. d. i następstwo nie byłoby pewnem — każdy kandydat na dyrektora obejmuje przeto niedobór swojego poprzednika, byle nie musiał w razie konkursu współzawodniczyć z innymi kandydatami. Ponieważ zaś w tym szeregu dyrektorów rzadko który gospodarował dobrze i racjonalnie, więc szczególna owa „ciągłość prawna“ niedoboru wydać już musiała niepospolite rezultaty finansowe. W końcu, jak w owej dziecinnej grze w karty, znajdzie się „der schwarze Peter“ od którego nikt już nie weźmie niedoboru, i wówczas dopiero, po niemiłej katastrofie, i po konkursie, weźmie ktoś teatr bez długów ciążących na przedsiębiorstwie, i albo się utrzyma, albo stanie się głową nowej dynastji „panów deficytu.“ Na końcu końców wszelako, przyjdzie koniec świata, i mizerji teatralnej, i tylko stoicyzm mojego lwowskiego narodu stać będzie niewzruszony i przetrwa wszystko, nawet zimę tegoroczną.

Jan Lam.

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. Ślepowron.

(Ciąg dalszy.)

III.

Założenie obozu i przyjęcie króla Schilluków.

Dostawszy się w okolicę Schilluk, wziąłem oba parowce i jeden żaglowiec i zacząłem szukać stosownego miejsca na rozłożenie obozu. W bliskiej odległości od ujścia rzeki Sobat, ujrzeliśmy piękny las, wznoszący się nad rzeką, którego piękne, wysoko-pienne palmy, nadawały mu charakter okolic tropikowych. Miejsce to obrałem na naszą tymczasową stację. Położenie wysokie chroniło od wylewu wody, a las dostarczał materjału do budowli i opału.

W kilka dni dzika okolica, zamieniła się w pełną życia i ruchu osadę; białe namioty ciągnęły się prostemi linjami tworząc ulice. Cień olbrzymiego mimosa osłaniał kanapę i kilka stołków, ustawionych na rozpostartym dywanie. Był to mój salon recepcyjny, w którym właśnie czekałem na przybycie Quat Kare, króla Schilluków. Adjutant mój wprowadził Jego Królewską Mość, w towarzystwie dwóch jego żon, czterech córek i dość licznego otoczenia. Jak całe plemię Schilluków był on bardzo wysoki i cienki. Ubranie za skąpe w szczegółach i wytarte, nie dodawało świetności jego postawie. Obdarowałem go też zaraz niebieską długą koszulą, która prawie do kostek sięgała, czerwoną indyjską szarfą i fezem.

Wszystkie te prezenta przyjmował z wielką na pozór obojętnością.

Ubrany z pomocą dwóch moich żołnierzy, zajął miejsce na dywanie, zapraszając swoją rodzinę, aby usiadła obok niego. Poczem nastało długie milczenie. Zdawało się, że król nie posiadał władzy mówienia. Patrzał tylko spokojnie, to na mnie to na moją żonę, przechodząc tak kolejno wszystkich oficerów mego otoczenia.

Byłem zmuszony przeciąć to niemiłe milczenie, zapytując, czy był rzeczywiście Quat Kare, królem Schilluków, ponieważ słyszałem o jego śmierci.

Zamiast odpowiedzi, naradzał się chwil kilka z jedną ze swych żon. Była to kobieta blisko sześćdziesięcioletnia, która zdawała się zajmować urząd pierwszego ministra i doradzcy. Poczem wiekowa ta dama zabrała głos, opowiadając cały tok intryg gubernatora z Fashodi, które zakończyły się nieszczęściami króla, jej męża. Ali Bey, gubernator Fashodi, potrzebował dla wykonania swych planów politycznych, zamięszania i wojny okolicznej. Schilluki byli silnem plemieniem, liczba ich wynosiła przeszło miljon; leżało więc w interesie gubernatora, zasiać niezgodę, któraby ich rozdzieliła. Quat Kare, jako król możny i rządzący swym ludem przeszło 50 lat, był nader niebezpiecznym z powodu wpływu, jaki wywierał nad całem plemieniem. Ali Bey umyślił zniszczyć ten wpływ, pozbawiając go wolności. Udało się jednak Quat Kare uciec bacznej straży gubernatora. Wtenczas Ali

*

Bey, przebiegły w intrygach, napisał do naczelnego gubernatora Sudanu, że z powodu śmierci Quat Kare, króla Schilluków, jest koniecznem wyniesienie na jego miejsce najbliższego krewnego, Jangę, dla którego prosi o firman. Pretendent do tronu, Jangy, daleki krewny Quat Kare, mimo że nie miał najmniejszego prawa do sukcesji, otrzymał przecież w danym czasie firman. Te intrygi sprawiły ogromne zamięszanie w całej okolicy. Jangy ogłoszony królem, stanął na czele bandy, gotów do wszelkich awantur, które mu tylko dawały możność rabunku. Znając dobrze miejsca, gdzie się ukrywały liczne stada bydła Schilluków, wpadł na czele swojej hordy, zajmując wszystek dobytek na rzecz gubernatora, z wielką liczbą kobiet i dzieci.

W tym fakcie maluje się obraz rządów Sudanu. W krainie obdarzonej najżyźniejszą glebą, z klimatem przyjaznym, i ludnością przeszło miljonową, jedyny krok na drodze polepszenia, po siedmiu latach rządów Egipcjan, jest system rabunku i mordu.

Zamiast błogosławionego pokoju, szereg intryg zamącił całą krainę. Z rządem uczciwym kraj ten żyzny mógłby stać się źródłem niezmiernych bogactw, produkując ziarno i bawełnę, gdy tymczasem mord, rabunek i niewola jedynem są tu prawem.

Ułożyłem się z Quat Kare, by zechciał jeszcze czas jakiś być cierpliwym, a ja wytoczę jego sprawę przed właściwy trybunał.

Po uczcie sprawionej z wołu, pokazałem gościom moim aparat elektryczny, co ich niezmiernie zajęło, i obdarzywszy jeszcze różnych członków familji królewskiej prezentami, odesłałem ich wielce ucieszonych statkiem do domu.

Schilluki stali się teraz naszymi przyjaciółmi. Obóz codzień był zapełniany tłumem przybywających z dalekich nawet okolic, aby mieniać swoje produkta na nasze towary. Murzyni wielkie mają zamiłowanie w handlu, czem są bardzo zbliżeni do żydów. Znosili oni nam wielką ilość bawełny i wszelkiej żywności, wymieniając je za wyroby z bawełny i żelaza.

Gdy już zaufanie i przyjaźń z Schillukami były całkiem ustalone, umyśliłem zaprosić gubernatora Fashody i przedstawić mu starego króla, o którym doniósł urzędownie, że nie żyje. Uwiadomiłem o moim zamiarze Quat Kare, poczem wysłałem parowiec zapraszając gubernatora do siebie.

Gdy przybył, przyjąłem go w moim salonie pod drzewem, ofiarując kawę i fajki. Tok rozmowy wprowadził nas na kwestję króla Quat Kare. Zagadnąłem go, że musiał być w błędzie, gdy donosił o śmierci starego króla, mógłbym mu bowiem dowieść, że żyje. — „To być nie może“ — odpowiedział najspokojniej — „wiem ze źródeł pewnych o jego śmierci i nie wierzę wieściom roznoszonym że żyje.“ — Wtedy dałem znak memu adjutantowi, aby wprowadził króla; wkrótce też postać wysoka Quat Kare ukazała się w towarzystwie żon, ministrów i licznego orszaku. W milczeniu, udając, że zupełnie nie zwraca uwagi na obecność gubernatora, siadł król na dywanie, wskazując żonom miejsca obok siebie; reszta otoczenia wraz z synami zatrzymała się w małem oddaleniu.

Z ciekawością śledziłem wrażeń tych dwóch śmiertelnych nieprzyjaciół, którzy naraz stanęli naprzeciw siebie. Ali Bey był niezaprzeczenie ładnym mężczyzną; twarz jego piękna, okolona siwym zarostem najmniejszym ruchem nie zdradzała wewnętrzn go uczucia; siedział nieporuszony, jakby nie widział Quat Kare i jego otoczenia. Nie ma szczęśliwszego pomysłu dla dyplomaty wschodniego jak fajka. W drażliwych chwilach cybuch prawie zawsze się zatyka, okazuje się więc potrzeba bezustannego ciągnienia dymu a tymczasem można ułożyć odpowiedź. Wydobywa się nareszcie ogromny kłąb dymu razem z zapytaniem: „przepraszam, o czem tośmy mówili?“ i zakłopotany dyplomata, któremu mała przygoda z cybuchem widoczną przyniosła ulgę, jest już gotów na dalsze argumenta. Fajka wtedy wypuszcza dym bez przeszkody, który wznosi się w lekkich obłokach, podczas gdy dyplomata słucha wywodów strony przeciwnej i nie ma potrzeby spieszyć się z odpowiedzią; gdy nawet cisza zalegnie, fajka nieocenionym jest sprzymierzeńcem. W tej chwili również zaległa cisza, nikt się nie spieszył rozpocząć rozmowę. Gubernator Fashody palił tylko zapamiętale fajkę, podczas gdy Quat Kare, uporczywie w niego się wpatrywał. Wzrok jego zdawał się mówić: Spotkałem cię przecież nienawistna duszo! — ale żadne słowo nie przecisnęło się przez jego usta.

Żywy ten obraz mógł był trwać do nieskończoności, gdybym był nie zakończył tej niemej sceny zapytaniem gubernatora czy zna Quat Kare. — „Tak jest, z widzenia“ brzmiała jego odpowiedź.

— „A więc kim-że ja jestem?“, — zagadnął Quat Kare, nie zmieniając ani pozycji ani wyrazu twarzy. Gubernator podniósł wzrok swój i skierował go na króla, nie przerywając jednak milczenia. Fajka znów się zatkała, dym nie wychodził, potrzeba było nad nią czas jakiś popracować. W końcu wydobył się potężny obłok, wraz z zapytaniem:

— „Jeżeli jesteś Quat Kare, czemuś się ukrywał? Czemuś się nie przedstawił w Fashodi? Byłbym był wiedział że jesteś przy życiu!“ Quat Kare nie spuszczając z niego oczu wyrzekł pomału: — „Gdzie jest moje bydło, któreś ukradł? Gdzie są kobiety i dzieci któreś porwał? Sądziłem że zabierając moje krowy, i porywając lud mój, byłbyś i mnie prawdopodobnie uwięził, nie chciałem się więc na to narazić.“ Ali Bey zdawał się być zajętym wyłącznie swoim cybuchem, który niepoprawny, znowu się zatkał. Rozmowa podobnej treści przeciągnęła się dość długo, zawsze jednak na korzyść króla Quat Kare, który przy pomocy ustawicznie szepczącej mu żony, zawsze swemi argumentami zbijał gubernatora. Wybadawszy obu przeciwników, doszedłem w końcu do przekonania, że gubernator jest łotr, a Quat Kare pod tym względem nie wiele mu ustępował, chociaż w całej tej sprawie był mocno pokrzywdzony. Usiłowałem pogodzić przeciwników. Perswadowałem królowi by zapomniał o przeszłości, wiele bowiem stało się przez omyłkę i niech tylko ma ufność w łaskę i sprawiedliwość Dżafira Paszy. Quat Kare z tym samym niczem niezamąconym spokojem, odrzekł na to: — „Jeśli zapomnę o przeszłości, co się stanie z mojem bydłem, które gubernator pokradł? Czy mi je odda lub zatrzyma, zapominając o przeszłości? Ja nie zapomnę o krowach moich.“ Trudno było odpowiedzieć na tak praktyczne zapytania. Fajka gubernatora już się skończyła, wstał więc zostawiając stoicznego Quat Kare panem placu, ale nie krów. Radziłem na czas jakiś dać pokój tej sprawie, póki nie będzie się widział z Dżafirem Paszą, i nie otrzyma bezpośredniej odpowiedzi od Wice króla, którą mu wyjednać obiecałem. Król Schilluków postanowił przenocować w moim obozie wraz z żonami i całem swem otoczeniem. Kazałem im więc zabić wołu, by mieli się czem zabawić, obdarowałem jeszcze króla szarfą kaszmirową, czerwonym perkalem i tuzinem drobnych dzwoneczków, które natychmiast sobie koło kostek obwiązał. Po raz pierwszy jego niczem niewzruszona powaga, ustąpiła przed nadmiarem radości, jaką mu sprawiał odgłos dzwonków, za każdem poruszeniem nogi.

IV.

Hurtowne małżeństwo.

Pierwszych dni maja straż doniosła mi o ukazujących się okrętach na Nilu. Żaden z handlarzy niewolnikami nie wiedział o mej stacji w Tefofikeyah, a ludność z Kutchuk, Ali i z Bahr Giraffe była przekonana żem wrócił do Khartum. Byłem trochę ciekawy, czy się odważą wysłać ładunki niewolników Białym Nilem, wiedząc że Wice król wysłał mnie umyślnie dla zniesienia tego handlu. Nie przypuszczałem aby gubernator Fashodi miał bezczelność przepuścić okręty z niewolnikami po surowym zakazie jaki był w tej sprawie wydany.

Okręt zbliżał się szybko z rozwiniętemi żaglami; wysłałem więc natychmiast łódź z rozkazem, aby go zatrzymała i przybiła z nim do lądu. Cała załoga miała niewinne miny, i bardzo była zdziwiona, kiedym kazał jednemu z mych najwierniejszych oficerów, pułkownikowi Abdel-kader, robić poszukiwania. Ładunek zdawał się na oko składać z samego zboża. Pomiędzy majtkami nie było innych osób prócz kilku żołnierzy. Pułkownik Abdel-Kader był wybornym oficerem, i wyjątkowo bardzo się interesował całą ekspedycją, służąc mi zawsze jak najwierniej; był on w tym względzie wyjątkiem, gdyż cały mój oddział, oprocz kilku Anglików i oficerów: Juljana Baker i inżyniera Edwina Higimbotham składał się z ludzi bardzo niechętnych zniesieniu handlu niewolnikami. Zapewnienia uroczyste kapitana okrętu i załogi, były dla Abdel-Kadera niedostateczne. Okręt wydawał mu się nienaturalnie przepełniony zbożem. Szczególnie odór wydobywający się przez pokład bardzo był zbliżonym do woni niekąpanych murzynów, która to okoliczność tem bardziej utwierdziła go w podejrzeniu; wziąwszy więc bagnet od jednego z żołnierzy, zaczął nim robić poszukiwania, zanurzając go prostopadle w zbożu; zaledwie jednak pierwsze pchnięcie wykonał, wydobył się żałosny jęk, poczem ukazała się wełniasta głowa murzynki. Ziarno natychmiast usunięto, a po podniesieniu deski z pokładu ujrzeliśmy znaczną liczbę kobiet, chłopców i dziewcząt. Biedacy zagrożeni natychmiastowem wyrżnięciem przez swoich tyranów, ze strachu zachowywali się tak cicho, póki nie zostali odkryci.

Na tę wieść przybyłem na miejsce i rozkazałem wyładować bezzwłocznie cały okręt. Odkryliśmy w nim 150 niewolników, wrzuconych w nadzwyczaj szczupłą przestrzeń. Odór był nie do opisania, kiedy cała ta ciżba zaczęła się poruszać; wiele było w kajdanach, które kazałem im jak najspieszniej pozdejmować. Z początku

nie pojmowali co właściwie zamierzamy zrobić, gdy jednak zobaczyli, żem kazał kapitana i dowódzcę stacji handlowej związać, zrozumieli że ich ciemięzcy są teraz niewolnikami, czem ośmieleni zaczęli rozpowiadać o mordach, jakie na nich popełniono i zniszczeniu, któremu wieś ich podpadła.

Przeważywszy ładunek z kości słoniowej, kazałem napowrót okręt naładować i pod strażą mego oficera odesłałem do Khartum jako konfiskatę. Teraz trzeba było zająć się niewolnikami, a przedewszystkiem umyć ich i ubrać w odzież, znajdującą się w naszych magazynach, zwłaszcza płeć piękną, która przedstawiała się w strojach nadto pierwotnych.

Na drugi dzień po ukończeniu inspekcji, wytłumaczyłem im teraźniejsze ich położenie, mianowicie że byli zupełnie wolni i mogli wracać do domu; jeżeli by zaś strony ich rodzinne znajdowały się zbyt daleko, mogli pozostać z nami, stając się pożytecznemi w zatrudnieniach domowych w zamian za okrycie i żywność; nadto jeśliby która z kobiet wstąpić chciała w związki małżeńskie, w moich szeregach jest dosyć tęgich chłopców, wcale zdatnych na małżonków. Każdej dałem patent wolności podpisany przezemnie, który włożony w rurkę trzcinową, zawieszony był na szyi wedle tamtejszych zwyczajów. Zajęcie to zabrało mi cały ranek; po objedzie przyszedłem zrobić przegląd, zapytując oficera dyżurnego, czy jest która z kobiet, która chce iść za mąż. „O, wszystkie chcą iść za mąż, już sobie powybierały małżonków!“ — odpowiedział mi na to. Był to prawdziwy szał matrymonialny, wymagający kościoła bez mała tak obszernego jak św. Piotr w Rzymie, z dodatkiem całej kompanji duchownych. Szczęściem rzeczy te nierównie króciej załatwiają się w Afryce. Mała ćwiartka zapisanego papieru kończy całą ceremonję. Chciałem osobiście obejrzeć tych nowozaręczonych, i przekonałem się, że niektóre dziewczęta, były wcale ładne, i moi żołnierze niezły gust okazali w wyborze, z niekorzyścią jednak dla Egipskich regimentów: czarne ladies miały szczególną antypatję do brunatnej rasy, skutkiem czego wszyscy ci nieszczęśliwi konkurenci zostali odrzuceni.

Moje ladies, ledwie obdarzone wolnością, zaraz postawiły się hardo w swych prawach kobiecych; byłem więc zmuszony ograniczyć trochę zapęd matrymonialny, i te, które na czas jakiś były jednostronnym obdarzone błogosławieństwem, przydzieliłem do zajęć domowych. Chłopców podzieliłem na klasy, powierzając ich angielskim robotnikom dla nauki rzemiosł, jak ciesielstwo, ślusarstwo, lub przydzielając do krawców i szewców; najzgrabniejszych zaś wybrałem do własnej obsługi. Trzechletnią dziewczynką, biedną sierotą, zajęła się moja żona. Mała Mostoora w korzystnem świetle przedstawiła swoją rasę; rozwinięta nad swój wiek, była roztropniejsza od wielu dzieci starszych od siebie. Twarzyczkę miała wprawdzie brzydką, ale za to nadzwyczajnie kształtną budowę ciała; była przytem obdarzona taką siłą i sprężystością muskułów, jakiej nie zdarzyło mi się nigdy widzieć u białych dzieci.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

RECENZJA

A. Świętochowskiego.

(Dokończenie)

(Culturgeschichte in ihrer natürlichen Entwickelung bis zur Gegenwart, von Friedrich von Hellwald; Augsburg. 1875.— Najnowsza historja cywilizacji.)

Zwróćmy się teraz do Hellwalda. „Summa wrodzonego naszej naturze zła i dobra pozostaje w swym składzie zawsze jednaką, tylko zmięszanie w nieznanej nam mierze się zmienia. Jeżeli więc (cytata z *Allg. Zeit.*) nowocześni historycy cywilizacji mniemają, że pewien dzisiejszy fakt już przez to wskazuje moralny postęp cofania się lub zastoju, że w ogóle styka się z kwestjami moralności, to dowodzi tylko naiwnej nieznajomości zagadnienia. Tak n. p. zniesienie niewolnictwa, poddaństwa, domów publicznych i t. p. nie może wcale służyć zaraz jako tego rodzaju dowód, gdyż takie akty przedstawiają się raczej naprzód jako postępy społeczne i polityczne, a ocena ich moralnej treści wymaga nierównie głębszych i bardziej złożonych zapatrywań. Bardziej to jeszcze odnosi się do tych ulepszeń, którym z powodu ich splątanej łączności z istniejącemi w danej chwili stosunkami służą za podstawę idee problematyczne, (?) polityczne, społeczne, jak to ma miejsce w szerokim obrębie opartego na humanitarnych zasadach prawodawstwa i administracji, n. p. w wypadku zniesienia kary śmierci. Jeżeli spojrzymy na jądro rzeczy zamiast na jej skorupę, to znacznie odstąpimy od swej pogardy „dobrych starych czasów“,*) uważanie których za pobożne oszustwo stało się „wspólnem dobrem ukształconych“ i od ślepego ubarwiania teraźniejszości, przestaniemy w każdem moralnem nieokrzesaniu widzieć moralne zepsucie a wyrafinowaną zręczność w sprawach publicznej moralności uważać za obyczajowe ukształcenie. Strzeżmy się szczególniej liberalną tendencję prawodawstwa bezwarunkowo uważać za rezultat spotęgowanej moralności“.

Dowody jakie przeciwstawiłem twierdzeniom Buckla, rozstrzygają również słuszność powyższych sądów Hellwalda. Muszę jednak zwrócić uwagę na dwa nietknięte wprzódy punkta: mianowicie czy i o ile polityczno-społeczne przemiany są wyrazem moralnego postępu i nadto jaką rację bytu ma wyraz l e p s z y używany przy ocenie tego postępu. Co do pierwszego weźmy przykład: Hellwald powiada, że zniesienie niewolnictwa nie było skutkiem rozwoju pojęć moralnych, lecz społeczno - politycznych. Jest to zdanie rzadkiej płytkości. Przedewszystkiem jaka istnieje granica między postępem społecznym a moralnym? Wreszcie przypuśćmy że istnieje i że się daje ściśle wyznaczyć, to powstaje drugie pytanie, jakie społeczno-polityczne przyczyny wpłynęły na fakt, który wybraliśmy dla przykładu, t. j. na zniesienie niewolnictwa? Co do mnie, nie znam ani jednej, i widzę w tem tylko tryumf praw moralnych. Gdyby mnie więc Hellwald spytał, dlaczego niewolnictwo zniesiono? odpowiedziałbym: dla tego, że znani wielcy myśliciele podnieśli, a cywilizacja zatwierdziła zasadę rozszerzenia praw swobody do wszystkich ludzi. Nie przeczę że pobudki do tego mogły mieć swoje rozmaite źródła, były to jednak wpływy drugorzędne. Główna przyczyna spoczywała w moralnym postępie. Gdyby jakikolwiek z rzymskich filantropów wystąpił w senacie z taką propozycją, jak obrońcy niewolników w angielskim parlamencie, wyśmianoby go. Bo potrzeba było długiego moralnego rozwoju, ażeby się w jednostkach taka idea zrodziła, i ażeby ją ogół przyjął z zapałem. Wreszcie tylko doktrynerskie zaślepienie może nie wiedzieć, że wszelka polityczno-społeczna przemiana główną swą sankcję czerpie w prawach moralnych, i że wszystko, cokolwiek zbiorowa wola ludzka postanawia, postanawia jedynie dlatego, że cos jest dobrem i słusznem. Hellwald zaszachowany dalej swą zasadą mechanizmu natury, wyśmiewa używanie wyrazu l e p s z y jako znaku porównania dwu momentów cywilizacyjnego rozwoju. W tej swojej ironji upaja on się aż do bezprzytomności urokami swego fałszywie stosowanego dogmatu. Na wszelkie bowiem protestacje ma zawsze w pogotowiu zdaniem jego rozstrzygający frazes, że natura nie zna moralności, gdyż dla niej wszystko równowarte. Byłoby to arcymądre i dowcipne, gdybyśmy wykładali pojęcia i sądy natury. Na nieszczęście wykładamy pojęcia i sądy nasze ludzkie. Dla natury jest wszystko jedno, czy kto rozbija czy szkoły zakłada, ale dla nas nie wszystko jedno, i dlatego powiadamy że kto szkoły zakłada l e p s z y niż ten kto rozbija,że dalej epoka tolerancji jest l e p s z ą od epoki inkwizycji. O gust natury nikt tu się nie pyta, gdyż nawet jest wprost rzeczą nielogiczną robić tego rodzaju zestawienia. Jeśli p. Hellwald powiada że natura nie zna moralności, to urabiając na ten model inne podobne sądy z równą słusznością powiedzieć można, iż ponieważ dla natury jednakową wartość ma drapanie nożem po szkle i sonata Mozarta, zatem określenie, że sonata jest piękniejsza od drapania po szkle, jest śmiesznem. Podobnie dziecinnych mniemań, do których materjalizm często daje powód, możnaby wyprowadzić mnóstwo, poprzestaję wszakże na jednem.

Z całego dotychczasowego wywodu, w którym starałem się wskazać i ocenić główne podstawy dzieła Hellwalda, nie powinien czytelnik wyciągać potępiających wniosków. Obecna bowiem *Historja Cywilizacji* ma wprawdzie we wskazanych miejscach kruche podwaliny, to jednak niech nie zachęca i nie upoważnia do odmówienia jej wielkich szczegółowych zalet, ukazujących się w erudycji, w niepodległości sądu, w szczegółowych spostrzeżeniach i w zapanowaniu nad ogromem historycznego widnokręgu i naukowego materjału. Te właśnie względy stawiają książkę Hellwalda na jednem z najwybitniejszych miejsc w niemieckiej literaturze lat ostatnich. Bodajby nas często takie piśmiennicze niepowodzenia spotykały.

*) Wyrażenia cudzosłowami oznaczone, należą jeśli mię pamięć nie myli, do Kolba.

Listy z Niemiec.

IV.

Berlin w Kwietniu 1875.

A zatem jeśli nadzieja nie zawiedzie, dostaną może Niemcy zamiast dwudziestu kilka uniwersytetów, tyleż . . . koszar. Wielki bowiem polityczny Luter myśli podobno o przekształceniu wyzszych naukowych zakładów niewątpliwie dlatego, że są czemś najlepszem w świecie i najlepszem w Niemczech. W dotychczasowej bowiem swej działalności aż nadto przekonał, że obok sławy budowniczego równie mu smakuje sława burzyciela, a że na jedną i drugą

posiada *carte blanche*, dla czegóż więc pewnego pięknego poranku nie ma sobie pozwolić tej przyjemności i wejść do owczarni, niemieckim parlamentem zwanej, z projektem do prawa o wyższem ukształceniu, opartem na sołdackich tendencjach, i jak zwykle posiadającego wszystkie warunki podobania się zebranym baranom? Co mu — powiadam — w tej zachciance przeszkodzi? Opozycja narodu, który pamiętny dobrodziejstw, jakie na niego z wolnych wszechnic spłynęły, będzie się starał bronić ich obecnego ustroju? O nie!... Niemiec myśląc o tem powtarza sobie: *wollte Gott, es wäre nicht wahr!* a gdy przyjdzie do decyzji z siniałemi od strachu usty da głos za... Bismarkiem. Nie uprzedzajmy jednak wypadków, chociaż nas przeszłość trochę do proroctw upoważnia, bo być może, iż niemiecki półbóg zastanowi się, i nie zechce najcięższym barbaryzmem zakończyć swej niezbyt cywilizowanej sławy.

Dla oznaczenia wszelkiego rodzaju gwałtów i wywołanego niemi oporu używają Niemcy wyrazu *Culturkampf*. Otóż jakkolwiek ten *Culturkampf* wre ciągle i coraz mniej przypomina *Cultur*, nie kreślę wam jednak ostatnich jego dziejów, gdyż one dadzą się zamknąć w kilku słowach: cywilizujący rozbijają i gnębią cywilizowanych. *Culturkampf* dziś, to nic więcej, jak nieustanne sadzanie do kozy księży, redaktorów itd. — Smutna cywilizacja!...

Zobaczmy jej szlachetniejszą odmianę, t. j. zajdźmy na literacki rynek Berlina, tego sławnego Berlina, który dziś z dumą światu powiedzieć może, iż wśród swej ludności ma tylko jednego zbrodniarza na... dwudziestu mieszkańców. Piśmienniczy wszakże w Niemczech bazar zawsze coś, a nawet dużo wart. Chociaż znowu jego płody w ostatnich czasach pod wpływem patrjotycznych wyziewów dziwnie pokarlały. Przed dwudziestu laty autor *Rechts u. Staatsprinzipien*, Heinrich, tak charakteryzował swych braci: „W Niemczech — powiada w przedmowie — nadający ton uczeni zawsze uprzedzają życzenia rządów, chociaż te są wrogie dla wolności. A dzieje się to jak utrzymują złośliwe języki nawet wtedy, gdy owe rządy wcale się nie starają zjednać sobie uczonych“. Słowa te przypomniał rozumniejszej publice niemieckiej słynny badacz i profesor berlińskiego uniwersytetu Dubois-Reymond, ten sam, który w czasie ostatniej wojny prosił słuchaczów, ażeby mu wybaczyli.... francuskie nazwisko. Przypomniał zaś ją odczytem „o niektórych rezultatach najnowszego badania natury“. Jakie wrażenie jego prelekcja zrobiła na niepodległe myślących, przekonał mię jeden szczególniej protest studenta, zamieszczony w *Volksstaat**), którego autor wzdrygając się woła: „Służalcze, rzec można brudne i wstrętne przekonanie polityczne!“ Wszystko to jednak nie przeszkadza ażeby Dubois-Reymond był rzeczywiście jednym z największych uczonych i miewał inne świetne odczyty. Przysłuchując się jego śmiałym wywodom w sferze wiedzy i służalczym w sferze polityki, gwałtem nastręcza się pytanie, dlaczego ten człowiek nie ograniczy się pierwszą? Po co koniecznie przechodzi linję, po za którą nietylko utraci prawo do swej wielkiej chwały, ale nadto ściągnie na siebie może równe lekceważenie? Dziwni są ci ludzie — czasem uczciwy szacunek im się przykrzy!

W tym względzie słynny akademik powinienby brać przykład ze swego młodszego w uniwersytecie kolegi, który ową wojowniczość i antigalicyzm zamknął w obrębie nauki. Mówię o E. Dühringu. Pisarz ten z innego punktu obserwowany przedstawia dosyć dziwne, na niemieckim zaś gruncie bardzo naturalne zjawisko. Dziwne, dla tego, że świat naukowy coraz bardziej odzwyczaja się od widoku encyklopedystów. Filozof starożytny lub średniowieczny, rozprawiający z jednakową kompetencją a często w tymże samym traktacie o wszystkiem, co się pomiędzy najodleglejszemi krańcami wiedzy zmieścić może — nie dziwi nas, ale dzisiejszy uczony bawiący się w wszystkowiedza jest — że się tak wyrażę — cudakiem. Osobników tego gatunku zaczyna być coraz mniej. Główną zaś ich ojczyzną, w której najobficiej się rodzą i żyją, jest błogosławiona Germanja. Tu utrzymała się w pierwotnym stanie odwieczna tradycja, wychowująca dziwne kreatury filozofami zwane, i pozwalająca im nietyle wszystko umieć, ile raczej o wszystkiem sądzić. Nie ma ani jednej, nawet najspecjalniejszej gałęzi badania, względem której niemiecki filozof nie uważałby się za prawodawcę. Ażeby się o tem przekonać, nie potrzeba sięgać po odległe dowody, każdy z was czytelnicy znajdzie niedaleko siebie takiego filozofa. Bo i do naszej literatury tradycja ta się przeszczepiła. W niemieckiej jest ona charakterystycznem znamieniem. Do tego przyczynia się inna okoliczność. Niemieccy uczeni mają nieraz istotnie olbrzymi zasób wiadomości. Natłoczone zaludnienie przy wysokiej oświacie utrudnia warunki wszelkiego współzawodnictwa, a pragnącym zwyciężyć każe zdobywać się na nadzwyczajne wysiłki. W Niemczech uczony z małą wiedzą skazany jest na zatratę, zginie w konkurencji jak biedny kramarz, chcący rywalizować z bogatymi kupcami. „U nas — mówił mi przed paru tygodniami jeden z profesorów uniwertytetu — żelazna konieczność zmusza do nabywania olbrzymiej wiedzy. U was w Polsce rzecz inna. Jeśli się nie znajdzie osobistość, która siłą własnych pragnień popychana, wiedzę tę zdobędzie, warunki do tego jej nie znaglą. Macie nie wielu uczonych — współzawodnictwo łatwe. Dam panu bardzo wymowny przykład. Przed kilku dniami odebrałem od jednego z moich kolegów także profesora uniwersytetu list, w którym mi opisuje taki fakt: Fakultet przysłał mu niedawno do ocenienia etnograficzną rozprawę młodego Polaka pragnącego się doktoryzować. Rozprawa ta była robotą bez żadnej wartości, a to tak dalece, że jej autor głównie oparł się na wywodach książki, którą pewien uczony niemiecki napisał w chwilach pomięszania zmysłów. Naturalnie doktoranta nie dopuszczono do egzaminu. To go wcale nie zmartwiło. Pojechał do innego Uniwersytetu gdzie dostał tak zwany tytuł „małego doktora“, z obowiązkiem niedrukowania rozprawy*) Dotąd nic. Mały bowiem doktor zjawia się u mojego przyjaciela i prosi go o list polecający do któregokolwiek z Uniwersytetów galicyjskich. Przyjaciel mój listu mu nie dał, da mu go kto inny. Przypuszczam najlepszy wypadek że żaden z waszych Uniwersytetów owego „małego doktora“ sobie nie nabędzie, sama jego wszakże odwaga, i przekonanie że na podstawie kupionego dyplomu i bez żadnej gruntownej nauki ma prawo ubiegać się o katedrę, dowodzi jak u was konkurencja jest słaba. U nas nawet taka pretensja jest niemożliwą“. Wyrazy te zawierające fakt autentyczny i wypowiedziane przez człowieka bardzo poważnego, są wyborną ilustracją uwagi, którą wyżej zrobiłem, mianowicie że Niemca zmusza do wielkiej nauki nie tylko chęć ale i konieczność. Tem sobie należy tłumaczyć ów dziwny widok uniwersyteckich profesorów, wykładających rozmaite i nienależące do jednej specjalności przedmioty. Po prostu dla powiększenia sobie szans w walce o byt, każdy stara się przewyższyć innych nie tylko jakością i ilością, lecz nadto rozmaitością. Ale wróćmy do Dühringa. Jeżeli nie naukowa tradycja powołująca filozofów do wszechwiedzy, to warunki trudne wyścigi, albo też jedno i drugie stało się powodem, że uczony ten pisze w rozmaitych gałęziach. Pomijam jego prace dawniejsze, gdyż i w dwu ostatnich uwydatniła się dostatecznie encyklopedyczność. Pierwszą stanowi: *Kostische Geschichte der Nationalekonomie* (Berlin 1875.) Jest to właściwie druga, ale znacznie zmieniona i rozszerzona edycja dzieła wydanego w roku 1871. Drugą: *Cursus der Philosophie als streng wissenschaftlicher Weltanschauung* (Leipzig 1875.) Obie te prace odznacza nadzwyczajna ostrość sądzenia przekonań cudzych i nadzwyczajna niejasność w wypowiadaniu własnego. Dühring, chociaż ciągle wykłada, jest niewidomy. Jak wiadomo, kalectwo to usposabia nietylko do pewnej cierpliwości, ale co ważniejsza, uwalnia myśl w wyrażaniu się od wielu skrupułów. Zjawisko to można wybornie zaobserwować na Dühringu. Ten niewielkiej ostatecznie naukowej miary człowieczek, tak pomiata pierwszorzędnemi genjuszami, jak gdyby oni po sobie tylko ślady głupstw zostawili. Krytyka jego jest nieraz trafną i bystrą, tak wszakże wyłącznie lubuje się w achillesowych piętach, że czasem omal się nie przeradza w lekkomyślne drwiny lub szykanę. Nie prowadzi ona myśli czytelnika szlakiem stopniowo odkrywanych i do dziś szanowanych prawd, lecz manowcami zbankrutowanych błędów. To też zwłaszcza *Historja Ekonomji* nie jest historją pomysłów szczęśliwych lecz chybionych.

Gdy Dühring rzuci światło na któregokolwiek z pracowników tej niwy, stara się je skierować tylko na ułomności. Łatwo pojąć, jak wysokie wzbudza wreszcie niezadowolenie, gdy zmęczywszy czytającego ukazywaniem cudzych zboczeń i przyprowadziwszy go do punktu, w którym też chciałby od swego przewodnika usłyszeć poprawne, wyższe od potępionych i prawdziwsze objaśnienie, kładzie maskę i zaczyna przemawiać jak Sybilla. Niemal bierze ochota rzucić książkę w piec. Naturalnie zarówno w ekonomice jak w filozofji deklaruje autor swoje własne, niezależne i oryginalne stanowisko — na czem ono jednak polega nie podobna zrozumieć. Po kilka razy czytałem wyznanie naukowej wiary Dühringa, chcąc uporem zdobyć jego niedostępną tajemniczość, napróżno! najgwałtowniejsze szturmy odpierał swą nieodgadnioną mądrością. Z obu więc jego książek można się tylko dowiedzieć, czego on nie chce i czego nie uznaje; ile zaś w tem jest słuszności, tyle interesu i pożytku. Pozytywna bowiem część wywodów dla braku do niej klucza, musi pozostać dla wszystkich, oprócz autora, zamknięta. Już dla tego samego nie wielka strata. Kto nie umie się wytłumaczyć—nie żałujemy, że go nie rozumiemy. Bo czasem jest jedyną zaletą i szczęściem jakiegoś pomysłu, że go nie zrozumiano....

Jaka to szkoda dla sławnego od niedawna autora *der Philosophie des Unbewussten*, że niektóre z jego twierdzeń są zrozumiałe! Możeby się chociaż później z nich rozśmiano. Po raz drugi wydał swoje *Grundlegung des transcedentalen Realismus* (Berlin 1875), gdzie na szczęście niezbyt zrozumiale traktowana jest „rzecz sama w sobie i jej natura.“ Za to stał się jak zwykle bohaterem zrozumiałej filipiki C. Fr. Heman'a, który w pełnym teologicznym rynsztunku wyjechał przeciwko jego w zeszłym roku wydanej *Religion der Zukunft*. Obecna pora religijnych walk i rozdrażnień bardzo sprzyja rozrabianiu tego rodzaju przedmiotów. Ulubionym tematem niemieckich filozofów było od dawien dawna godzenie wiary z nauką. Całe biblioteki złożyły się z ćwiczeń na to zadanie pisanych i wzajemnie się bezsensem przewyższających. Niepospolitej trzeba było głowy, ażeby zrozumiała tę prostą prawdę, że wiara jest wiarą, a nauka nauką i że obie mimo większych lub mniejszych zbliżeń nie przestają być sferami osobnemi i różnemi. Gromady lichych mózgów siliły się koniecznie na wymędrkowanie sofizmatu, któryby pozwolił zawnioskować, że wiara jest nauką a nauka wiarą, i że jedna drugą może zastępować. Dzisiejsza religijna fermentacja znowu zachęciła do tego rodzaju prób z tą jednak wyraźną odmianą, że dla zgody z głównym politycznym prądem sofiści odejmują religji a przydają nauce więcej praw niż kiedykolwiek. Do czego zaś to przelewanie z pustego w próżne, to mechaniczne, wszelkiej treści pozbawione kombinowanie wyrazów w puste zdania często doprowadza, przekonywa jeden z najświeższych traktatów J. Brüllmann'a *Religion und Religiöse Richtung* (Aarau 1875.) Autor na motywach szyllerowskiego dwuwiersza:

Welche Religion ich bekenne? Keine von allen,
Die du mir nennst. Und warum keine? Aus Religion.

rozwija z niesłychanem zadowoleniem swej szczęśliwej oryginalności wywód, którego ostateczną konsekwencją jest ta mądra a subtelna rada: „uwolnijcie naród od religijnego kierunku i wprowadźcie go do otwartej świątyni religji.“ Innemi słowy znaczy to: odwiedźcie od religji (istniejącej) i nawróćcie do religji (nieistniejącej.) Jest to w jednem znaczeniu jałowy frazes, w drugiem bzdurstwo, a w trzeciem chęć zabawienia się w Lutra *en miniature*. Czwartem może być niema chęć zarekomendowania się na jakie wakujące po uwięzionym księdzu miejsce.

(C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— Portraits de femmes, par M. Jules Soury 1 vol in 18; Sandoz et Fischbacher. Paris. 1875.

Pod tym tytułem p. Jules Soury zebrał i połączył w jedną kilka prac swoich z których część umieścił poprzednio w „Revue de deux Mondes.“ Połączyć z roz-

*) Patrz *Al. v. Oettingen* die Moralstatistik, Erlangen 1874 str. 574.

*) Podobno wszakże — jeśli mnie katalog księgarski nie myli — wydrukowano.

biorem uczuć badania naukowe, zgłębiać i rozbierać najdelikatniejsze utwory podań i poezji, jest pracą tak mozolną, że nauka sama jest tu niewystarczającą. Potrzeba z nią połączyć wdzięk, wytworność i chociażby trochę kwiecistego stylu, który tak prędko więdnieje wśród foljałów bibljotek. Pan Jules Soury nie raz już wywiązał się świetnie ze swego zadania. Delia de Tibulle, Pani Recamier, Pani de Pompadour tak miło są przez niego spowiadane, że nie tracą nic na swoim wdzięku, pomimo wykrycia wielu niebezpiecznych i niedyskretnych sytuacyj. Ale kobiety nie chcą, aby je odgadniono i zdaje się że te czarodziejki zemściły się na nadto bystrym postrzegaczu, podsuwając mu przedmowę, której buddyjska mizantropja zupełnie się nie zgadza z wdziękiem postaci kobiecych, które postanowił odmalować.

— Paris, ses organes, ses fonctions et sa vie dans la seconde moitié du dix-neuvieme siecle. VI. vol. Par M. Maxime du Camp. Paris, Hachette & Comp. 1875.

Z upragnieniem oczekiwaliśmy wyjścia ostatniego tomu tego monumentalnego dzieła, by zwrócić nań uwagę naszych czytelników. Dzieło to bowiem, oparte na datach statystycznych, daje nam wierny obraz całego życia paryskiego, i może zająć zarówno historyka cywilizacji i ekonomistę, jako też w ogóle każdego wykształconego człowieka. Paryż, miasto, stanowi niejako osobny zupełnie światek dla siebie, a dzieło o nim traktujące jest prawdziwą skarbnicą dla współczesnych i przyszłych pokoleń. W poprzednich tomach obznajomił nas autor z instytucją sądów przysięgłych, z systemem monetarnym, z urządzeniem banku zastawniczego (mont-de-piété) poczty, więzień, domów ubogich i szpitali, podał rys systematu oświetlenia miasta, dalej opisał szkoły, koleje żelazne, wreszcie sposoby prowjantowania miasta, urządzenie policji itd. W ostatnim (6) tomie daje historję miasta, określa stan majątku, urządzenie cmentarzy, mówi dalej o teatrach, bibljotekach, straży ogniowej i gwardji narodowej. Z rozdziałów w tym tomie zawartych podajemy niektóre ciekawsze daty. Główny dochód stanowi dla miasta podatek konsumcyjny. W r. 1801 przyniósł tenże miastu kwotę 10,936.416 franków. W r. 1869 ten sam podatek wynosił już kwotę 107,557.565 franków. Podatek konsumcyjny wzrastał więc przeciętnie około $1\frac{1}{2}$ miljona rocznie. Teatrów posiada Paryż 41; podatek dla ubogich, który teatra opłacają, przyniósł w r. 1873 kwotę 16,168.719. fr. Z pomiędzy licznych bibljotek zasługują na wymienienie: Bibljoteka Mazaryna posiadająca 150.000 tomów i 4.000 rękopisów; bibljoteka Arsenalska 230.000 tomów i 6.000 rękopisów; bibljoteka Richelieu 2,200.000 tomów i 791 czasopism.

— Les Soirées parisiennes, par un Monsieur de l'orchestre, preface de Jacques Offenbach. Paris. 1875.

Oto ksiażka bardzo ciekawa, bardzo paryska, bardzo zabawna, przepełniona osobistościami, anegdotami, małemi obrazkami rodzajowemi, portretami, profilami itp. Autorem jest Mortier, dziennikarz, majacy talent podobny pod wielą względami do talentu J. Janin'a.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Rzucona przez nas myśl wydania „Plutarcha polskiego“ urzeczywistni się prędzej, niżeśmy się tego spodziewali. Oto Księgarnia Polska we Lwowie, postanowiwszy wydać takiego „Plutarcha“ poczyniła już wszelkie kroki aby druk dzieła mógł się rozpocząć jak najprędzej. „Plutarch polski“ będzie obejmował 4 spore tomy, a życiorysy wielkich naszych mężów będą w nim pomieszczone w porządku chronologicznym, aby czytający miał zarazem pogląd na historję. Jak nas upewniają, manuskrypt do pierwszego tomu jest już przygotowany i druk rozpocznie się w lecie br. Szczęść Boże uczciwej pracy!

— Profesor Duchiński, bawiący od kilku dni w naszem mieście zapowiedział dwa odczyty o historycznym obszarze Polski. Odczyt pierwszy odbędzie się dziś, a następny jutro lub pojutrze.

— Mamy wreszcie genjalnie napisany dramat polski. Tym dramatem są „Niewinni“ Wł. Okońskiego; po pierwszem przedstawieniu na scenie krakowskiej, artyści sami wysłali do autora telegram, protestujący przeciw orzeczeniu komisji konkursowej, która „Niewinnych“ odsądziła od nagrody. Jest to utwor „pozytywny,“ a więc jako taki niemiły dla stronnictwa decydującego o wszystkiem w Krakowie; ta okoliczność niech tłumaczy, dlaczego dramat nie został pierwszą uwieńczony nagrodą, chociaż na nią najzupełniej zasłużył. Zestawiwszy liczne głosy i recenzje przyszliśmy do przekonania, że p. Okoński jest wielkim psychologiem, autorem przypatrującym się uważnie pracy i objawom ducha ludzkiego — słowem pisarzem dramatycznym, jakiegośmy dotąd nie mieli. Nawet *Przegląd polski*, pismo ściśle konserwatywne, a więc jako takie nie sympatyzujące z pozytywizmem, karcąc tendencję „Niewinnych“ oddaje im równocześnie jako dramatowi nadzwyczajne pochwały. Z niecierpliwością oczekujemy przedstawienia tego utworu na scenie lwowskiej, a w tedy własny sąd o nim wydamy.

— *Kronika*, nowe pisemko, wychodzące w Krakowie na wzór lwowskiego *Kurjera*, donosi w pierwszym numerze, że Dr. Józef Szujski wniósł podanie do wydziału filozoficznego wszechnicy krakowskiej, domagające się sądu honorowego na Dr. A. Brandowskiego, za jego list wymierzony przeciw p. Zakrzewskiemu. W podaniu swem p. Szujski twierdzi, że artykuł ów „ubliża powadze całego uniwersytetu.“ — Wątpimy, aby uniwersytet Jagielloński mógł w tym wypadku uczynić zadość wezwaniu p. Szujskiego, ponieważ każdy profesor uniwersytetu ma prawo sądzić swego kolegę ze stanowiska naukowego. Gdybyśmy temu raz zaprzeczyli obalilibyśmy tem samem wolność krytyki Przy tej sposobności należy zanotować, że „Szkice literackie i społeczne“ wychodzące w Krakowie i z miejscowemi stosunkami dobrze obznajomione, zgadzają się zupełnie z naszemi zapatrywaniami na sprawę p. Zakrzewskiego, twierdząc, że ustąpienie z katedry uniwersyteckiej stało się dla p. Z. koniecznością.

— Smutne rzeczy dzieją się w Krakowie. Akademja Umiejętności mianowała swoim członkiem hr. Uwarowa, moskala, i rząd rossyjski potwierdził ten wybór. Nie jesteśmy szowinistami w sprawach naukowych, wiemy, że Moskal uczony może być tak dobrze jak Francuz lub Anglik członkiem polskiej Akademji — ale z drugiej strony pamiętamy, że wybór Moskala może nastąpić wtedy tylko, jeśli na tem nie ucierpi godność narodowa. Tymczasem w tym wypadku ucierpiała ona bardzo dotkliwie. Rząd rossyjski nie pozwolił tym ze swoich polskich poddanych, których Akademja krakowska zamianowała członkami, przyjąć wyboru, a Akademja, jakby dla przypodobania się carowi posłała w lot nominację moskalowi, hr. Uwarow, którego wybór zatwierdzono. Taki zbieg okoliczności jest fatalnym dla Akademji. Zapomniała o godności narodowej i skompromitowała się tak, jak tylko ciało uczone skompromitować się może, gdy strzeli kolosalną niedorzeczność. Nie posądzamy Akademji o „złą wolę“ ale o safandulstwo, którego potrafi uniknąć w dzisiejszych czasach najmniej nawet uczona korporacja.

— Piękny a pełen rzewnej treści obraz Jana Matejki, przedstawiający „Jana Kochanowskiego nad trumną Urszulki“, znajduje się obecnie w Paryżu i jest wystawiony na sprzedaż. Obraz ten malowany w 1859 r. jest własnością p. Teofila Popławskiego. Ponieważ właściciel zmuszony jest go sprzedać, donosimy o tem amatorem, podając zarazem jego adres: Mr. Théophile Popławski; Paris, rue de la Chaussée d'Antin, 49.

— Słynny jenerał Ducrot wydał historję obrony Paryża. Publiczność oczekiwała tej publikacji z wielką niecierpliwością.

— Wiktor Hugo udał się na jakiś czas do swego schronienia, Guernsey, gdzie zamierza wykończyć nowy tom poezji zatytułowanych: „Frankowie i Germanie.“ Za tło służy prawdopodobnie ostatnia wojna francuska.

— Czytamy w „Gołosie“ że panna Szwejkowska głęboka znawczyni starożytnych języków, zapowiada cały szereg odczytów „O powołaniu i znaczeniu kobiety w starożytności.“ Tenże dziennik podaje, iż dwudziestoletnia panna Gołubcow spędziwszy lat kilka na poważnych studjach za granicą, udaje się w podróż naukową po Turkestanie — Brawo! płeć piękna!

— Od 4 kwietnia b. r. wisi na jednym z boku wieży katedry Sztrasburgskiej rusztowanie, na wysokości 120 metrów. Na rusztowaniu tem pracują kamieniarze, odejmujący uszkodzone przez bombardowanie ozdoby, i po naprawieniu w warstatach na dole wciągający je znowu na tę o zawrot przyprawiającą wyżynę. Ciężka ta i niebezpieczna praca stanowi cząstkę ogólnego dzieła naprawy katedry, które skończy się ustawieniem posągów cesarzy na przedzie świątyni.

Wynalazki, odkrycia i komunikacje.

— Niedawno pisaliśmy na tem miejscu o szkle metalowem, które zostało wynalezione, przez francuza, p. Bastie. Próby jakie dotąd poczyniono przeszły wszelkie oczekiwania. Szczególne to szkło rozpalone w najwyższym stopniu wcale nie pęka, a włożone natychmiast do wody, także nie pryska. Szyba z takiego szkła oprze się najsilniejszym gradom. We Francji zaczęto już z niego wyrabiać wszystkie naczynia kuchenne, co w wysokim stopniu przyczyni się do utrzymania zdrowia, ponieważ dotychczasowe nasze garnki blaszane i żelazne, a najwięcej miedziane, były zabójcze dla ludzkiego organizmu. Rzecz szczególna, że przy sposobności wynalazku p. Bastie powtórzyła się komedja ze znanym jajem Kolumba. Bastie nie krył się ze swoją tajemnicą i w głównych zarysach opowiedział, na czem polega siła jego szkła. Zaledwie dowiedziano się o tem w Niemczech, a już donoszą z Wiednia i Berlina, że i tam wynaleziono szkło metalowe! Jesteśmy pewni, że wkrótce jakiś niemiec odkryje także drugi raz Amerykę.

— Na Dominice, jednej z wysp Antylskich, odkryto wrące jezioro. Znajduje się w grupie gór pokrytych lasem za miastem Roseau, 2500 stóp nad poziomem morza, i ma 2 mile angielskie obszaru. Brzegi jego stanowią pokłady siarczane, a wypływa zeń potężna katarakta.

— Między nową Anglją a zachodniemi Stanami północnej Ameryki wykończono tunel „Horpaet,“ którego długość wynosi 4 mile. Budowa kosztowała 36 miljonów guldenów.

Badania przyrody.

— Towarzystwo tatrzańskie, liczące już kilkuset członków, rozwija swoją czynność bardzo energicznie. Nietylko postanowiło ułatwiać turystom pobyt w Tatrach i zwiedzanie gór, ale także badać ten mało dotąd znany świat, i za pomocą odpowiednich publikacji obznajamiać z nim koła najobszerniejsze. Każdy, któremu materjalne środki na to pozwalają, kto dla piękności natury nie jest obojętny, i kto nie zagubił miłości kraju, powinien cele towarzystwa jak najgorliwiej popierać. Delegatem upoważnionym do załatwienia spraw Towarzystwa we Lwowie, jest Dr. Józef Żuliński, mieszkający przy ulicy Sobieskiego, l. 34.

— Z Singapore donoszą pod dniem 15. zeszłego miesiąca, że angielscy obserwatorowie zaćmienia słońca w Siamie doszli do niezmiernie cennych spostrzeżeń. Pomimo mglistego powietrza, obserwacje odbywały się wciąż i nader pomyślnie za pomocą pryzmatycznej kamery. Spektra skopiczne kamery okazały się niepraktycznemi. Zdjęto ośm wybornych fotografji „korony.“

Zjawisko natury.

— Otatnia poczta islandzka przyniosła wiadomość o wielkim wulkanicznym wybuchu na Islandji, co zdaje się potwierdzać przypuszczenie, iż spadły przy końcu z. miesiąca deszcz popiołowy w Norwegji, pochodził z islandzkich kraterów. Na ośm dni przed Bożem Narodzeniem dawały się uczuwać częste wstrząśnienia ziemi, które w styczniu szczególniej w siłę i liczbę wzrosły. Zauważano także słupy dymu na Wschodzie, a 3 stycznia znaczną łunę ku Południowi i Wschodowi. 18. lutego spostrzeżono z Grimstadt słup ognia na Zachodzie. Późniejsze badania okazały, że pierwszy wybuch miał miejsce w Vatna Jönkul, nie z tego jednak krateru który w zimie 1872—3 był czynnym. W drugiej połowie lutego w górach Dyngu, położonych na północ od Vatnajönkul otworzył się nowy wulkan który obecnie jeszcze jest czynnym.

ROZMAITOSCI.

— Czytelnikom naszym znaną już jest w ogólnych zarysach straszliwa katastrofa trzech śmiałych podróżników napowietrznych pp. M. Sivela, Croce-Spinelli i Gastona Tissandier'a. Wszystkie prawie dzienniki podały opis jej na podstawie dorywczych wzmianek i krótkich zapisków pozostałego przy życiu uczestnika wyprawy p. Gastona Tissandiera. Obecnie w „Illustration“ znany astronom Kamil Flammarion, właściwym sobie żywo zajmującym i przystępnym sposobem zdaje sprawę z tego wypadku. Sądzimy, że użyteczną i ciekawą dla naszych czytelników rzeczą będzie mieć jaśniejszy pogląd na szczegóły i przyczyny tej katastrofy i dla tego podajemy tu artykuł Flammariona. „Większa część dzienników — powiada ten uczony, — nie przestaje twierdzić, że przyczyną tragicznej śmierci dwóch podróżników było uduszenie z powodu braku, na tak wielkiej wyżynie, powietrza zdatnego do oddychania. Uważne jednak zbadanie faktów przekonywa nas, że zaszło tu coś innego, mianowicie apopleksja, przepełnienie naczyń krwionośnych pod wpływem nacisku wewnętrznego gazów i krwi, braku równowagi z ciśnieniem atmosferycznym zewnętrznem, zmniejszającem się w proporcjach, z których znaczenia i stosunku dotychczas, jak się zdaje, dostatecznej sobie nie zdano sprawy. Zanim jednak przystąpimy do bliższego wyjaśnienia tych bolesnych faktów, zreasumujmy je naprzód Przypomnijmy sobie brzmienie pierwszej depeszy Tissandiera: „Przeszliśmy po godzinie wysokość 8000 metrów i zapadli w stan zupełnego odurzenia. Słońce mocno dopieka. Zbudziłem się na chwilę i widziałem, że balon spadł i że Croce odrzucał od siebie przyrząd do oddychania; potem omdlałem na nowo i otwarłem oczy po raz drugi na wysokości 6000 metrów. Sivel i Croce mieli twarze czarne, usta krwi pełne. Nie żyli. Spuszczenie się moje na ziemię miało miejsce o czwartej w Ciron (w dep. Indres). Sądzę, że przy drugiem wzniesieniu się, doszliśmy do znaczniejszej jeszcze wysokości“. Wznoszenie się balonu trwało tedy cztery godziny: od południa do czwartej. Możemy zdać sobie sprawę ze szczegółów jego na podstawie opowiadania jakie nam mógł dać sam Tissandier, jakolwiek omdlenie jego trwało całe dwie godziny. Postarajmy się związać ze sobą wzruszające perypetje tej podróży. Wzniósłszy się w południe z fabryki gazu w la Villette, przy najpiękniejszem słońcu, balon dosięgnął około pierwszej wysokości 5000 metrów. Część doświadczeń skończono; podróżnicy czuli się w najlepszem usposobieniu. Sivel wyrzuca część balastu. Balon wznosi się wyżej. Podróżnicy wdychają kwasoród, oddziaływający na nich wybornie. O pierwszej, minut dwadzieścia, balon znajduje się na wysokości 7000 metrów. „Sivel i Croce bledną — a mnie robi się słabo — pisze Tissandor. ,,Wdycham kwasoród, co mnie nieco wzmacnia. Wznosimy się jeszcze wyżej, Sivel obraca się do mnie i powiada: — Mamy dużo ballastu, czy wyrzucić część?— Ja mu na to: Rób pan, co ci się pododa. — Wówczas on zadaje Crocemu to samo pytanie. Croce pochyla głowę z wyrazem energicznego potwierdzenia. Mieliśmy w łodzi co najmniej pięć worków ballastu, — ze cztery jeszcze wisiało na zewnątrz na sznurkach. Sivel chwyta za nóż i przecina z kolei trzy sznury. Trzy worki się wypróżniają; wznosimy się gwałtownie w górę. Uczuwam się tak słabym, że nie mogę nawet obrócić głowy dla spojrzenia na moich towarzyszy, którzy, jak mi się zdaje, usiedli. Chcę pochwycić przyrząd do oddychania, ale niepodobna mi podnieść ramienia. Umysł mój jeszcze był całkiem jasny, oczy miałem zwrócone na barometr, i widzę wskazówkę dochodzącą do cyfry ciśnienia 290, potem 280, którą przechodzi. Chcę zawołać: Jesteśmy na wysokości 8000 metrów! — ale język mój prawie bezwładny. Nagle zamykają mi się oczy i padam bezsilny, tracąc zupełnie świadomość; było to około wpół do drugiej. O drugiej i minut ośm budzę się na chwilę: balon spadał gwałtownie; miałem dosyć siły do odcięcia jednego worka, dla powstrzymania pędu. Sivel i Croce leżeli jeszcze w omdleniu w głębi łódki“. Wnet jednak po tem ocknięciu się, podróżnik wpada znowu w omdlenie. Gwałtowny wiatr, idący z dołu do góry, wskazywał raptownie spadanie. ,,W kilka chwil potem, — dodaje Tissander, — czuję że ktoś mnie szarpie za rękę: poznaję Crocego, który przyszedł do siebie. — ,,Wyrzuć pan trochę balastu, — rzekł do mnie — spadamy!“ Miałem zaledwo tyle siły, aby oczy otworzyć i nie wiedziałem czy i Sivel oprzytomniał. Przypomniałem sobie, że Croce odjął przyrząd do oddychania i wyrzucił go, a za nim balast, kołdry, itd. Wszystko to jest niezmiernie pomięszaną reminiscencją, zacierającą się w mgnieniu oka, zapadam bowiem w dawną nieprzytomność moją i to głębiej jeszcze niż pierwej, tak że zdaje mi się iż zasypiam snem wiecznym. Co się przez ten czas stało? Przypuszczam że balon, pozbawiony balastu, nieprzenikliwy i gorący jeszcze, wzniósł się znowu w wysokie regjony. Mniej więcej o trzeciej, minut piętnaście, otwieram oczy, czuję odurzenie, brak sił, ale umysł mój się ożywia. Balon spada z przerażającą szybkością, łódka kołysze się gwałtownie i opisuje olbrzymie ruchy wahadłowe; klękam i szarpię za ręce Crocego i Sivela.—Sivel! Croce! — wołam zbudźcie się! — Dwaj towarzysze moi siedzieli, przykucnąwszy w łodzi z głowami ukrytemi w płaszczach. Zbieram siły i próbuję ich podnieść; Sivel miał twarz czarną, oczy matowe, usta otwarte i krwi pełne, — Croce-Spineli oczy zamknięte a usta zbroczone“. Wzruszające to opowiadanie pokazuje nam, że trzej podróżnicy byli już bardzo słabi, gdy na wysokości 7000 metrow Sivelowi przyszła do głowy nieszczęśliwa myśl wyrzucenia jeszcze trzech worków balastu, każdy o 20 killogramach wagi. Balon doszedł i przeszedł wysokość 8000 metrów; trzej aeronauci omdlewają; Croce naprzód bezwątpienia, dalej Tissandier a ostatni Sivel, w przerwach kilku minutowych. Po wzniesieniu się na nieznaną wysokość, balon zaczyna opadać. Tissandier budzi się na chwilę i widząc że spadanie jest zbyt szybkie, wyrzuca worek balastu; towarzysze jego wciąż nieprzytomni. Trochę później Croce się budzi i wstrząsa swoich towarzyszy, wołając, że balon zniża się zbyt gwałtownie i że trzeba ująć balastu. Towarzysze pozostają niemi. Wówczas ostatniem wysileniem chwyta sam przyrząd do oddychania, ważący 40 kilogramów, worki, kołdry i wyrzuca wszystko na zewnątrz. Spadanie zatrzymuje się. Balon się wznosi. Do jakiej wysokości? Tego obliczyć nie podobna. Mogła być wtedy druga, minut dziesięć. Co się działo od tej pory? Nikt wiedzieć nie może. Dopiero bowiem w godzinę po tem, jedyny pozostały przy życiu uczestnik tej wyprawy, zbudził się ze swojej pozornej śmierci, a towarzysze jego na wieki już usta mają zamknięte. Tu więc balon wznosił się dwa razy; po raz drugi wyżej, niż po raz pierwszy. Studjum specjalne, jakie odbyłem w balonie i w Alpach, nad warunkami życia w wysokich warstwach atmosfery, skłania mnie do wniosku, że trzy przyczyny złożyły się na śmierć naszych podróżników, i że pierwsza z nich a zarazem główna, wystarczyłaby była sama do zabicia ich. Tą przyczyną główną, jest, jak już wspomnieliśmy wyżej, brak równowagi pomiędzy ciśnieniem atmosferycznem zewnętrznym a ciśnieniem wewnętrznem w ciele. Na powierzchni ziemi, nad poziomem morza, lub na wyżynie 100 metrów, przy najmniejszej wysokości barometrycznej 76 centymetrów, żyjemy w pośród atmosfery bardzo zgęszczonej, jakoby ryba, w wodzie, i dźwigamy nie wiedząc nawet o tem, ciężar 15,500 kilogr. naciskający na barki nasze i na całą powierzchnię ciała. Czemuż jednak nie uczuwamy najmniejszej przykrości pod takiem ciśnieniem? Oto, ponieważ obieg krwi, powietrza i gazów napełniających wewnątrz tkanki nasze, wywiera ciśnienie analogiczne na każdy atom naszego ciała i utrzymuje nas w doskonałej równowadze z atmosferą zewnętrzną. Ale wejdźmy pod dzwon machiny pneumatycznej, z którego wyciągnięto pewną ilość powietrza, albo wznieśmy się choćby na 1000 metrów tylko; a uczujemy znaczną różnicę w równowadze; nie przykrą jednak ponieważ ciało wyda się nam bardziej pełnem, bardziej żywotnem niejako, z powodu silniejszego naprężenia naczyń krwionośnych. Jeżeli się wzniesiemy na 2600 metrów, zostawiliśmy pod sobą c z w a r t ą część atmosfery w ciężarze, a barometr spadł na 560 milimetrów. Na 5500 metrów barometr zniży się do 380 milim. a ciśnienie atmosferyczne zmniejszy się o p o ł o w ę. Na 9500 ciśnienie to zmniejszy się o t r z y c z w a r t e i mamy w koło siebie już tylko czwartą część powietrza, które nas otaczało na dole. Ponieważ zaś mimo tego ciśnienie wewnętrzne ciała pozostało toż samo i krew obiega zawsze z tąż samą siłą wewnętrzną, równowagą została zniszczoną i spostrzegamy w sobie wzrastającą dążność do kongestji, i krew stara się wydostać na zewnątrz. Ja zwyczajnie doznawałem na wysokości 4000 metrów szumu w uszach i oczy mi się często krwią nalewały. Puls staje się przyspieszonym i gorączkowym. Na 5000 metr. ręce sinieją bardzo często. Na 6000 metrów twarz purpurowieje, stając się siną w miarę wznoszenia się w górę. Jednocześnie głowa usypia, żołądek uczuwa wrażenie pustki, robi się tak słabo, tak że omdleć można. Przeszedłszy wysokość 8000 metrów i zbliżając się do okolic gdzie ciśnienie redukuje się do jednej czwartej części normalnego, aeronauci nasi tedy znaleźli się w owych nieszczęśliwych warunkach tendencji do kongestji. Druga przyczyna, bardzo wpływowa, przyłączyła się do pierwszej i wzmogła jej działanie. Było to gorąco słoneczne. Przy sposobności całej serji doświadczeń aeronautycznych miałem możność zmierzyć względne powiększanie się ciepła słonecznego w miarę wznoszenia się i ubytku wilgoci. Powietrze się oziębia, a ciepło słoneczne pozostając wciąż jednakiem, wydaje się przez to tembardziej natężonem i uderza z tem większą gwałtownością na głowę, narażoną na nie, podczas gdy nogi pozostają w cieniu i chłodzie. Różnica pomiędzy temperaturą termometru w cieniu a na słońcu wynosi wówczas od 15 i 20 stopni. Siłę żaru słonecznego powiększa jeszcze najzupełniejszy brak jakiegokolwiek przeciągu. To oddziaływanie bezpośrednie żaru słonecznego na głowę, tyle bardziej natężone i szkodliwe, że wilgoć z powietrza w zupełności zniknęła, musiało wzmocnić dążność do kongestji. Nieszczęśni podróżnicy zczernieli. Ci, którzy ulegli, byli najbardziej krwiści i najsilniejsi; nadto byli po śniadaniu, a Tissandier na czczo. Do tych przyczyn przyłącza się jeszcze trzecia: zniknięcie woli i brak jakiejkolwiek myśli stałej w tym stanie senności. Człowiek, znalazłszy się w takich warunkach anormalnych, zapada w stan zupełnej prostracji. Myśli jeszcze ale przestał już chcieć. Ciało nie słucha już duszy. Członki niższe najprzód tracą władzę, potem ręce, nareszcie i głowa. Człowiek robi się doskonale o b o j ę t n y m. Nie pragnie bardziej żyć, aniżeli umrzeć. Gdyby dosyć było podnieść palec dla uniknięcia śmierci, — uśpiony już w eterze człowiek nie zrobiłby tego poruszenia. Nic go już nie obchodzi. A śmierć powoli, okrywa go swoim lodowym całunem; już się nigdy nie obudzi! Widzimy tedy, na sumę, że powodem zgonu tych męczenników wiedzy była apopleksja spowodowana zmnięszaniem ciśnienia atmosferycznego. Jeżeli więc zamierza ktoś wznieść się na tak niezmierne wyżyny, byłoby rzeczą roztropną, powiem niezbędną prawie, postarać się o zachowanie w około siebie ciśnienia atmosferycznego, mało różnego od normalnego, jużto za pomocą odpowiedniego odzienia, już też przez nadanie specjalnej budowy łódce. Sivel i Croce Spinelli są to piętnasty i szesnasty męczennik aerostatyki. Śmierć ich jest o tyle bardziej godną opłakania od innych i dotkliwszą, że wyjątkowo sprawie wiedzy poświęcali życie i odwagę swoją. Pierwszy, kapitan marynarki, chociaż bardzo młody jeszcze odbył kilkakrotnie podróż naokoło świata i oddał się od kilku tat zupełnie kwestji żeglugi napowietrznej. Croce-Spinelli ożywiony tąż samą namiętnością, również był nieustraszony. Co do Tissandiera, znany on już jest oddawna światu uczonemu i publicystyce ze swoich cennych prac nad chemją, sympatycznyc dzieł swoich i redagowanego przez siebie dziennika „La Nature“ Obecnie Tissandier jest przedmiotem owacyj całej Francji“. —

Odpowiedzi Redakcji.

S. T. w Stanisławowie. Poezje „Powoje“ i „Bóżyszcza“ drukowane nie będą; w poprzednich była forma dobra, myśli znane; w tych myśli nowe ale za to forma miejscami słaba. Z dotychczasowych jednak prób sądząc jesteśmy pewni, że niedostatki znikną zczasem.

Treść Nr. 19.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).